

Wojciech Turek

Demokracja, kapitalizm, Europa:

refleksje o programie dla Polski

Gdańsk 2012

Egz. nr

Przedmowa

Prezentowany tekst powstał na początku 2004 roku i był drukowany na łamach niskonakładowego periodyku „Szaniec Chrobrego” (Nr 68, marzec-kwiecień 2004). Po upływie ponad ośmiu lat, zadawszy sobie trud jego ponownej lektury uznałem, że nie stracił na aktualności, a zawarte w nim przestrogi, niestety, okazały się realne. Zapewne można było w polskiej polityce uniknąć wielu błędów i pułapek, gdyby cel, jaki sobie wyznaczyłem: sprowokowanie czy też zachęcenie do debaty nad najważniejszymi problemami stojącymi przed Polską – został osiągnięty. Niestety, w Polsce od wielu lat nie podejmuje się refleksji nad kierunkiem, w jakim powinna zmierzać polityka uprawiana w interesie narodu. Nie podejmuje się refleksji nad głębszymi zagadnieniami etycznymi, filozoficznymi, moralnymi, społecznymi. Odnoszę wrażenie, że zamiast polityki, odbywa się na naszych oczach spektakl – bądź nie mający celu oprócz rywalizacji o władzę i wpływy, bądź też służący celom dalekim od tego, co nasi poprzednicy określali mianem służby „interesowi narodowemu”. Chcę wyraźnie zaznaczyć, że niezależnie od tego, w jakim kierunku będą przebiegały dalsze zmiany, nie wyrzeknę się tego – być może staroświeckiego – pojmowania polityki, jako sztuki skutecznego zabiegania o dobro społeczności (narodu).

Wszystkich, którzy podzielają powyżej sformułowany „światopogląd”, chcę zachęcić do lektury tekstu, który, jak już wspomniałem, nie stracił na aktualności, co powinno stanowić argument przemawiający za pozytywną oceną jego wartości. W skrócie ujmując: napisałem, że demokracja w Polsce nie funkcjonuje prawidłowo z powodu słabości społeczeństwa demokratycznego i dlatego kolejne rządy nie przyniosą jakościowej zmiany na lepsze i to się potwierdziło. Przestrzegałem przed niebezpieczeństwem ulegania mitowi „neoliberalizmu” – i doświadczyliśmy w 2008 roku jakże dramatycznego załamania się dotychczasowego modelu gospodarczego. Wreszcie, wąpiłem w racjonalność opierania polityki polskiej na bezrefleksyjnym posłuszeństwie wytycznym polityki amerykańskiej i obecnie widoczne jest już – chyba dla wszystkich - że Polska stoi coraz bardziej osamotniona w swych nieuporządkowanych relacjach z Rosją oraz Niemcami.

Nie dokonywałem zmian w prezentowanym tekście, poza drobnymi poprawkami stylistycznymi. Nie widzę takiej potrzeby, ponieważ nie zależy mi, by za wszelką cenę przekonywać Czytelnika do przedstawionych poglądów. Chcę w tym miejscu – *last but not least* – przywołać słowa mistrza politycznego, Romana Dmowskiego, który w przedmowie do „Myśli nowoczesnego Polaka” stwierdził, że chodzi mu przede wszystkim o to, żeby Czytelnik „myślał nad poruszonymi przeze mnie sprawami”.

Gdańsk, 28 lipca 2012

Wstęp

Po napisaniu tekstu, będącego w zamierzeniu – jak świadczy o tym podtytuł – nie tyle programem, co refleksjami o programie dla Polski, uznałem, że winien jestem przyszłemu Czytelnikowi jeszcze jedno wyjaśnienie. Otóż postawiłem sobie za cel opisanie przyczyn obecnego kryzysu, jaki drąży Polskę, a także naszkicowanie zarysu najważniejszych zmian, jakich należy dokonać, aby Polska stała się „bardziej Polską”, czyli krajem lepszym i bardziej przyjaznym dla jego mieszkańców - obywateli polskich. Natomiast nie podjąłem się w tym miejscu realizacji najważniejszego i najtrudniejszego zadania, jakim byłoby sformułowanie odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób można skutecznie przeprowadzić niezbędne zmiany, jak w praktyce wytyczyć drogę ku lepszej Polsce. Wydaje mi się, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment na formułowanie szczegółowego i zarazem realnego programu naprawczego. Najpierw trzeba sobie uświadomić kwestie fundamentalne. Takie jak ta, że w dzisiejszej polityce polskiej brakuje refleksji nad „sprawą polską”, co skutkuje bezradnością i zagubieniem nie tylko elit politycznych, ale również zwykłych obywateli. Nie można podejmować próby formułowania programu, jeżeli w ogóle nie toczy się debata publiczna wokół ważnych zagadnień, a opinia publiczna (o ile takowa istnieje) nie wymaga od swoich przywódców, aby ci wykazywali się umiejętnościami twórczego i logicznego myślenia w kategoriach interesu publicznego, narodowego. Dopiero uświadomienie sobie, w jak głębokim regresie nie tylko moralnym, ale przede wszystkim intelektualnym, znalazła się dzisiejsza polska klasa polityczna, pozwoli wkroczyć na ścieżkę, która umożliwi nam wyjście z obecnego stanu chaosu i poczucia bezradności. Podejmując refleksję nad programem dla Polski, musimy najpierw odpowiedzieć sobie na dwa pytania: jakie są przyczyny wszechogarniającego kryzysu oraz jakie choroby najbardziej pustoszą nasze państwo i społeczeństwo. Prezentowane w tym miejscu refleksje o programie stanowią jedynie subiektywną propozycję, głos w debacie, jaka w przyszłości (oby nieodległej!) musi się odbyć, jeżeli chcemy poważnie myśleć o docelowym sformułowaniu ostatecznego, szczegółowego i możliwego do zrealizowania programu.

Przed opublikowaniem, wysłałem swoje refleksje o programie osobom, których opinie mają dla mnie szczególne znaczenie. Dziękuję Profesorowi Wiesławowi Chrzanowskiemu, Profesorowi Krzysztofowi Kawalcowi, a także Janowi Wawrzekowi i Rafałowi Zgorzelskiemu, za nadesłanie własnych uwag i spostrzeżeń, niejednokrotnie zawierających wiele krytycznych i polemicznych sformułowań. Dzięki nim, mogłem co nieco zmienić i udoskonalić, choć w wielu kwestiach spornych pozostałem przy swoim zdaniu. Nie prezentuję tutaj żadnych prawd objawionych, chciałbym jedynie przyczynić się do ożywienia publicznej debaty nad ważnymi polskimi sprawami.

I. Polska na rozdrożu

Nie ulega wątpliwości, że w oczach przyszłych pokoleń Polaków, przełom drugiego i trzeciego tysiąclecia będzie jednoznacznie utożsamiany z okresem niezwyklej pomyślności. Po czterdziestu pięciu latach zakończył się smutny okres narzucania Polsce absurdalnej ideologii komunistycznej, po blisko półwieczu Polska wyzwoliła się z kleszczy zagrożenia niemiecko-rosyjskiego i odzyskała wewnętrzną suwerenność. Po blisko trzystu latach dominacji skrajnie niesprzyjającego nam układu geopolitycznego, w 1989 roku wydarzył się cud, który można porównać jedynie z faktem jednoczesnego rozpadu trzech mocarstw rozbiorowych w 1918 roku: Polska zyskała wreszcie przestrzeń umożliwiającą swobodne życie i rozwój. Pod wieloma względami rok 1989 był dla Polaków jeszcze korzystniejszy niż rok 1918. Odzyskaliśmy niepodległość niemal bez ofiar i bez wysiłku, jakby w formie rekompensaty za dziesiątki, setki lat krzywd, jakich historia nam nie szczędziła. Po 1918 roku musieliśmy krwawą walką potwierdzać przyznane nam prawo do samostanowienia. Układ wersalski, w jakim znaleźliśmy się w krótkim okresie dwudziestolecia międzywojennego (1919-1939), jakkolwiek korzystny dla nas, nosił wszelkie znamiona tymczasowości. Polska była niepodległa, ale kleszcze niemiecko-rosyjskie wciąż zagrażały naszej państwowości. Po 1939 roku nastąpił powrót do *status quo ante*, w którym nie było miejsca dla „bękartu wersalskiego”, dla narodu zbyt dumnego by znosić upokorzenia, a zbyt słabego, by sprostać potędze totalitarnych Niemiec i Rosji. W efekcie nowego układu, zawartego ponad naszymi głowami w Jałcie, Polska została – wbrew swojej woli i pomimo złożenia wielkich ofiar – włączona w skład imperium sowieckiego. Po 1989 roku układ jałtański nareszcie legł w gruzach. Nastąpiła prawdziwa „wiosna narodów”, w wyniku której imperium sowieckie rozpadło się na szereg państw narodowych. Europa mogła się znowu zjednoczyć.

Rzeczywistość, jaka wyłoniła się po przewyciężeniu podziału jałtańskiego, okazała się tak niezwykle korzystna dla Polski, że właściwie trudno sobie nawet wyobrazić jakieś lepsze dla nas rozwiązanie. Wbrew - wydawało się że uzasadnionym - obawom, zjednoczenie Niemiec nie tylko nie osłabiło, ale wręcz utrwaliło naszą granicę zachodnią. Pojednanie francusko-niemieckie i mozolne budowanie struktur europejskich, przyczyniły się do uwolnienia Polski nie tylko od zagrożenia niemieckiego, ale również zabójczej dla nas groźby porozumienia niemiecko-rosyjskiego. W 1999 roku Polska wraz z krajami Europy wschodniej weszła w skład euro-atlantycznego systemu obronnego NATO, a z dniem 1 maja 2004 roku staniemy się integralną częścią europejskiej wspólnoty gospodarczo-politycznej (Unii Europejskiej). Rosja „przesunęła się” daleko na wschód, została oddzielona od Polski strefą państw buforowych. Widmo konfliktu nuklearnego, zagrażającego istnieniu całej Europy, przestało być realnym koszmarem, spędzającym sen z powiek. Nigdy przedtem Polska nie była tak ściśle jak dziś włączona w skład międzynarodowego systemu wzajemnych powiązań i zabezpieczeń. Jej istnienie stało się ważnym elementem nowego ładu geopolitycznego. W obliczu nowych wyzwań i zagrożeń, silna Polska stała się potrzebna wszystkim państwom europejskim. Nikt nie kwestionuje naszych granic. Na naszych oczach tworzy się kolejny system bezpieczeństwa, do udziału w którym zostaliśmy zaproszeni: europejskie siły zbrojne.

Oczywiście, żaden układ nie trwa wiecznie, a w miejsce dawnych, przewyciężonych niebezpieczeństw, pojawiają się nowe, niekiedy jeszcze groźniejsze. Historia pokazuje, że walka o hegemonię w Europie prowadziła do powstawania rywalizujących ze sobą bloków państw. Ujawnione niedawno, wyraźne sprzeczności interesów i dążeń wewnątrz tzw. Zachodu mogą zapoczątkować niekorzystną dla Polski ewolucję. Jednakże póki co, obecna,

niezwykle korzystna dla Polski koniunktura, w odróżnieniu od ładu wersalskiego, wydaje się posiadać wiele cech stabilności. Z pewnością przetrwa dłużej niż dwadzieścia lat.

*

Uderzający jest kontrast między nadzwyczaj pomyślnymi zmianami w układzie geopolitycznym, otwierającymi przed Polską perspektywę wieloletniej *prosperity*, a minorowym stanem nastrojów społecznych. Kryzys gospodarczy, bolesne koszty transformacji ustrojowej, ciężką od lat i doskwierają w życiu codziennym milionów Polaków. Ale przecież nie wszyscy Polacy ubożeją, wśród niezadowolonych z życia w Polsce jest wielu takich, którzy materialnie radzą sobie nie najgorzej. Bywały w przeszłości okresy trudne, wymagające wielu wyrzeczeń, a jednak wydaje się, że naród nie tracił wówczas „ducha”. Zrozumiałe i uzasadnione były nastroje powszechnej apatii i zniechęcenia w Polsce stanu wojennego, w warunkach postępującej degradacji i cywilizacyjnego regresu lat 80.- w sytuacji kiedy nikt nie mógł żywić uzasadnionych nadziei na rychłe „wyjście Polski z komunizmu”. Dlaczego jednak w Polsce po 1989 roku, wychodzącej z absurdów komunizmu, otwierającej się na świat, „normalniejszej” niemal w oczach, Polsce demokratycznej, której władze pochodzą z woli narodu, Polsce wracającej do swych korzeni, Polsce będącej w coraz większym stopniu Polską - zabrakło entuzjazmu, jaki przeżywali nasi dziadowie po 1918 roku, albo nadziei, jakiej doświadczyliśmy my sami lub nasi rodzice w 1980 roku? Dlaczego Polacy, którym dane jest żyć we własnym państwie (o czym marzyło wiele pokoleń naszych przodków), nie utożsamiają się z Polską i z sarkastyczną obojętnością przyglądają się politycznym „wojnom na górze”? Dlaczego Polacy zachowują się tak, jak gdyby wciąż rządili nimi „oni”: okupanci, obcy, zwierzchnicy narzuceni siłą? Czyżbyśmy stali się narodem frustratów, cyników, moralnych anarchistów nie tolerujących żadnej władzy i biernie przyglądających się lub aktywnie współuczestniczących w rozkradaniu dóbr publicznych?

Należę do pokolenia, które wchodziło w świat dorosłych w czasie, kiedy wybuchła, tak właśnie: WYBUCHŁA pierwsza „Solidarność”. Byłem świadkiem wielkiego zrywu, eksplozji społecznej aktywności, gwałtownego odrodzenia moralnego. Widziałem setki, tysiące ludzi, zrzucających zewnętrzne powłoki oportunistów i przystępujących do ofiarnej służby „pro publico bono”. „Solidarność”, skupiająca blisko dziesięć milionów członków, była największym w historii Polski i jednym z największych w dziejach świata ruchem obywatelskim, republikańskim, narodowym. Była czymś wyjątkowym, a jednocześnie stanowiła fenomen, cyklicznie pojawiający się w historii Polski, *quasi*-konfederację, czyli, autentyczny, wyrastający z głębi świadomości głos, czy też sumienie narodu. Historyk bez trudu odróżni takie autentyczne, dynamiczne ruchy ludowe, od pozostałych wydarzeń, w jakie obfitują dzieje: zamachów stanu, przewrotów, buntów, wojen, wstrząsów. W archiwach pozostają po nich ślady w postaci ogromnych zbiorów spontanicznie tworzonej i ręcznie kopiowanej poezji, satyry, publicystyki *etc.* W naszej nieodległej przeszłości były dwa okresy, kiedy zdawałoby się bierni, cyniczni, nihilistyczni Polacy *en masse* przemówili, wypowiadając się własnym głosem, i przy tej okazji odsłaniając swoje autentyczne wnętrza: okres pierwszej „Solidarności” (1980-1981) oraz stanu wojennego (1981-1982). Mając w pamięci tamte zrywy społeczne, trudno dać wiarę dzisiejszym głosom zapewniającym o bezapelacyjnym triumfie cynizmu. Społeczeństwo nie zmienia się tak szybko. O wiele szybciej zmieniają się jednostki, elity, a zwłaszcza ludzie wyniesieni do władzy. Na fali społecznej eksplozji do władzy dochodzą ci, którzy uchodzą za przywódców, za personifikację *vox populi*. Od nich zależą dalsze losy narodu, państwa. Bo zryw – choćby najgwałtowniejszy, będzie zawsze krótkotrwały. Potem ster przechodzi w ręce nowych liderów, ludzi obdarzonych autorytetem, mandatem zaufania. Od nich będzie zależało, czy ogromne ciśnienie społecznego entuzjazmu zostanie skanalizowane we właściwym kierunku.

* *

Chcąc zrozumieć przyczyny obecnego kryzysu zaufania do Polski, kryzysu groźnego dla przyszłości naszej wspólnoty, trzeba się odwołać do skarbnicy doświadczeń, jakich nie brakowało w przeszłości. Najczęściej porównuje się wychodzenie Polski z komunizmu do procesu demokratyzacji Hiszpanii po śmierci generała Francisco Franco. Wydaje się, że nie jest to najlepsza droga do zrozumienia dzisiejszych polskich problemów. Hiszpania w dniu śmierci Franco była krajem normalnym, to znaczy posiadała rynkową gospodarkę, była państwem niepodległym, którego struktury odzwierciedlały nie tylko aspiracje, ale i wielowiekową tożsamość narodu hiszpańskiego. Po 1975 roku dokonał się ewolucyjny proces demokratyzacji i modernizacji Hiszpanii. W Polsce po 1989 roku również miała miejsce ewolucyjna demokratyzacja i modernizacja. Jednakże nie ten proces był dla nas najistotniejszy. Ustrój demokratyczny i otwarcie na świat nie były celem samym w sobie, lecz jedynie widocznym rezultatem odzyskania przez Polaków prawa do samostanowienia. Polska po 1989 roku odzyskała niepodległość, rozpoczęła budowę – od podstaw ! – zrębów normalnej gospodarki, a naród zyskał możliwość realizowania swoich aspiracji i wyrażania swojej woli za pośrednictwem struktur państwowych. Czy i na ile obecne państwo polskie wyraża wolę i aspiracje narodu polskiego jest pytaniem ważnym, ale odpowiedzi na nie poszukamy w dalszej części naszych rozważań. W tym miejscu ograniczymy się do stwierdzenia, że Hiszpania po generale Franco nie musiała przezwycięzać podobnych, co Polska dylematów, związanych z koniecznością pozbycia się niepolских (bo nie pracujących dla Polski) elit politycznych, budową podstaw normalnej gospodarki, przekształcenia struktur państwowych w struktury kompatybilne z wolą i wielowiekową tożsamością zbiorową.

Dopiero gdy przywrócimy właściwe proporcje, to znaczy przestaniemy bezmyślnie powtarzać slogany o „demokratyzacji” i „modernizacji” Polski, będziemy mogli podjąć próbę zrozumienia tego, co się stało z Polską po 1989 roku. W sposób oczywisty nasuwają się w tym momencie analogie z odzyskaniem przez Polskę niepodległości po 1918 roku. Tu znajduje się skarbnica doświadczeń, z której warto zaczerpnąć. Tamta Polska również odzyskała niepodległość i musiała gruntownie przebudować swą gospodarkę i struktury państwowe, sztucznie poprzedzielane granicami państw zaborczych; musiała przezwyciężyć szalejącą inflację i przekształcić struktury odziedziczone po państwach zaborczych w instytucje służące narodowi polskiemu i realizujące jego aspiracje. Odrodzona Polska była - *last but not least* - państwem demokratycznym, dążącym do modernizacji, czyli dorównania krajom zachodnim pod względem stopnia rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego. Koniecznie trzeba jeszcze dopowiedzieć, że w historii nigdy nie zdarzają się dwie identyczne sytuacje. Obok oczywistych analogii i podobieństw, Polska 1918 roku różniła się od Polski 1989 roku. Tamta Polska była państwem zróżnicowanym narodowo i religijnie. Przewyciężanie podziałów rozbiorowych stwarzało odmienne problemy niż przewyciężanie dziedzictwa komunistycznego. Polska po 1918 roku musiała walczyć w obronie swych granic, a jej sytuacja geopolityczna była nadzwyczaj trudna i skomplikowana.

Porównanie procesu narodzin II Rzeczypospolitej z procesem wychodzenia Polski z komunizmu wypada zdecydowanie na korzyść tego pierwszego. Twórcy zrębów Polski międzywojennej mieli jasną świadomość spraw nadrzędnych i postępowali według logicznego planu. Mniej było frazesów o „demokracji” i „modernizacji”, za to o wiele więcej konkretów. Pierwsze wybory do parlamentu odbyły się niemal natychmiast po odzyskaniu niepodległości – pomimo olbrzymich trudności – w okresie kiedy Polska ograniczała się zaledwie do obszaru Kongresówki i zachodniej Galicji, a o pozostałe ziemie toczyła się jeszcze batalia. Nikt nie zwracał uwagi na fakt, że partie polityczne były jeszcze słabe, a na dodatek skłócone ze sobą. Demokratycznie wybrany Sejm był priorytetem – bez niego nie wyobrażano sobie ani Polski ani demokracji. Ten pierwszy – jakże niedoskonały – Sejm, w

ciągu zaledwie dwóch lat przygotował i uchwalił konstytucję, którą mielibyśmy jeszcze wcześniej, gdyby nie prowadzona w międzyczasie wojna o „być albo nie być” z bolszewikami. Warto podkreślić, że konstytucja była „liberalna”, choć największym klubem w parlamencie był katolicki i narodowy klub Związku Ludowo-Narodowego. Po zakończeniu Sejmu Ustawodawczego, nowy parlament mógł zająć się innymi sprawami, między innymi reformą walutową. Warto dodać, że demokratyczny Sejm nie wahał się udzielić czasowych pełnomocnictw dla „rządzenia dekretami” Naczelnikowi Józefowi Piłsudskiemu czy też Władysławowi Grabskiemu. Ten ostatni, porównany z Leszkiem Balcerowiczem, jawi się nie tylko jako monetarysta, zasłużony w polityce antyinflacyjnej, ale także jako prawdziwy gospodarczy „mąż stanu”: dbający o zachowanie kontroli nad systemem bankowym, nieugięty negocjator w kontaktach z międzynarodowymi instytucjami finansowymi i – według dzisiejszych kryteriów – raczej etatysta niż liberał.

W przeciwieństwie do powyższego scenariusza, budowanie fundamentów obecnej Polski przebiegało bez logicznego planu, w zadziwiającym przemieszaniu spraw szczegółowych z pryncypiami. Kadłubowy Sejm „okrągłostołowy” zapoczątkował tzw. reformę Balcerowicza, pierwsze wolne wybory parlamentarne odbyły się dopiero po dwóch latach, jesienią 1991 roku, a konstytucję przyjęliśmy dopiero w ...1997 roku. Zamiast budowy zrębów niepodległego państwa, oczyszczenia elit (nie tylko politycznych) z rozmaitych agentur, intensywnej pracy na rzecz zespolenia struktur państwowych z aspiracjami i wielowiekową tożsamością narodową, koncentrowaliśmy się na konserwowaniu „okrągłostołowego” *status quo* oraz na gorliwym i bezkrytycznym powielaniu zachodnich schematów gospodarczych i kulturowych. Nie potrafiliśmy dorównać naszym poprzednikom sprawnością budowania własnego państwa, bo mieliśmy mniej szczęścia do przywódców. Znacznie mniej szczęścia. Uderzający, wręcz szokujący jest niemal całkowity zanik myślenia o Polsce. Świadczy o tym drastyczne obniżenie poziomu publicystyki politycznej, ubóstwo programów i wizji. W II Rzeczypospolitej nie można było być wybitnym politykiem, nie będąc jednocześnie sprawnym i mądrym publicystą, myślicielem, analitykiem. W dzisiejszej Polsce politycy bardziej niż myśleniem o Polsce, przejmują się notowaniami w sondażach przedwyborczych albo miejscami na listach wyborczych. Ktoś mógłby powiedzieć: liczy się przede wszystkim skuteczność a nie teoretyzowanie. Ale o jakiej skuteczności mówimy: o zapewnianiu Polsce i Polakom, czy też wyłącznie sobie samemu, godziwych warunków życia, pomyślności, bezpieczeństwa, rozwoju? I skąd, na jakiej podstawie, skoro nie powstaje bieżąca literatura polityczna, wyborcy dowiadują się, jaki kształt powinna przybrać zgodna z naszymi narodowymi interesami polityka polska?

Pochwała polityki i polityków tworzących II Rzeczpospolitą, nie oznacza bynajmniej braku krytycyzmu. Po 1918 roku popełniono wiele błędów. Najpoważniejszym z nich było wprowadzenie proporcjonalnej ordynacji wyborczej, która walczy przyczyniła się do destabilizacji polskiego parlamentaryzmu. Gdyby politycy „okrągłostołowi” poświęcili trochę czasu i uwagi samokształceniu, mogliby uniknąć powtórzenia po 1989 roku tego i wielu innych błędów. Tak czy owak, jeszcze nie jest za późno na wyciąganie wniosków z niekiedy bardzo bolesnych lekcji historii. W II Rzeczypospolitej początkowy entuzjazm i powszechnie wyznawany patriotyzm Polaków, zostały poddane ciężkiej próbie. Demokracja w Polsce nie funkcjonowała sprawnie. Demagogiczna walka pomiędzy partiami politycznymi, zaowocowała nie tylko wzajemnym wyniszczaniem się, ale – co najgorsze – podważeniem wiarygodności samego systemu politycznego. Partie polityczne zmieniały się jak w kalejdoskopie, a wraz z nimi politycy zmieniali przynależność, przy czym niegdysiejsi przeciwnicy zarzucający sobie wzajemnie najcięższe przewiny, nieoczekiwanie odnajdywali się potem w tych samych partiach lub koalicjach, już jako sprzymierzeńcy. Opinia publiczna miała powody do dezorientacji: „Albo dawniejsze zarzuty były kłamstwem – albo obecny sojusz jest szachrajstwem” – puentował jeden z ówczesnych polityków, uprawiający

jednocześnie wnikliwą publicystykę. Partie znajdujące się w opozycji, obwinały aktualnie sprawujący władzę rząd za wszystkie trudności, a po utworzeniu własnych rządów nie były w stanie usunąć tych samych niedomagań, więc również odchodziły obarczone przekleństwami rozgoryczonej opinii publicznej. Każdy kolejny rząd powiększał „rosnącą z roku na rok w społeczeństwie sumę zawodów i rozczarowań, oraz pesymizmu, podkopującego dziś już nawet wiarę w Polskę tak bardzo przecież patriotycznego ludu naszego”.

W II Rzeczypospolitej, podobnie zresztą jak w dzisiejszej Polsce, powszechnie zdawano sobie sprawę z konieczności przewyciężenia głębokiego kryzysu zaufania obywateli do ustroju demokratycznego i do instytucji państwowych, do naczelnych organów państwa. W odróżnieniu jednak od współczesnej elity, w okresie międzywojennym elita polityczna była jednocześnie w znacznej części również elitą umysłową, potrafiącą wykonać konieczny wysiłek aby najpierw zrozumieć przyczyny kryzysu, a następnie sformułować program jego przewyciężenia. Zrozumienie przyczyn kryzysu musi koniecznie oznaczać ujawnienie rzetelnej, choćby bolesnej, prawdy. W przypadku II Rzeczypospolitej ujawnienie tej prawdy oznaczało konieczność surowego rozliczenia całej powojennej, partyjnej sceny politycznej: „Bo żadne stronnictwo – pisał w 1927 roku cytowany wyżej polityk i publicysta – nie miało odwagi powiedzieć szczerze i uczciwie obywatelom: Polska zaczęła swój nowy byt państwowy bez pieniędzy, nie tylko w skarbie państwowym, ale i u obywateli. Przez czas wojny, którą Polska prowadziła o swe granice jeszcze dwa lata po ustaniu wojny światowej, skonsumowaliśmy przez inflację wszystkie oszczędności, jakie były w bankach i skrzyniach chłopskich, wszystkie sumy hipoteczne, wszystkie niemal akcje. To był koszt, który ponieśliśmy, by odzyskać niepodległość. Mamy wolność – ale nie mamy pieniędzy. Jesteśmy jak osadnik, który dostał ziemię, ale bez budynków i bez kapitału obrotowego. A nikt z powietrza pieniędzy nie robi, nikt nie wydobędzie nie lichwiarskiej pożyczki na gospodarstwo zniszczone, deficytowe, nikt z pustego nie naleje. Więc tylko powoli może się nasz stan gospodarczy poprawiać. Tylko powoli będzie się powiększać ilość pieniędzy w kraju, bo jedyny sposób zyskania ich to więcej wywozić towarów zagranicę, niż się z niej sprowadza. I tylko powoli będzie się ulepszać nasza administracja. Bo nie mamy dość wykwalifikowanych, z należytym doświadczeniem urzędników. A rządzenie – jest najtrudniejszą sztuką. Zanim się ogół urzędników tej sztuki nauczy – przejdzie wiele lat. Więc musimy znieść przez czas dłuższy różne braki i niedostatki. Przemოżemy je jednak pracą, oszczędnością i zbiorowym wysiłkiem wszystkich ludzi dobrej woli.”

Kryzys lat 20. elity polskie próbowały przewyciężyć w dwojaki sposób. Pierwszym, prymitywnym sposobem było obalenie niesprawnego modelu liberalnej demokracji drogą zamachu wojskowego, dokonanego w maju 1926 roku. Jednakże Józef Piłsudski nie miał żadnego pomysłu na to, co zrobić z uzyskaną władzą i są przesłanki świadczące o tym, że po czasie żałował podjętej decyzji, która zaprowadziła go w przysłowiowy „ślepy zaułek”. Drugim sposobem zaradzenia kryzysowi państwa polskiego było położenie zdecydowanego akcentu na element zaangażowania społecznego. Zwolennicy „odnowy moralnej”, najpierw społeczeństwa, a dopiero w dalszej kolejności państwa, argumentowali, że grunt pod odbudowę niepodległej Polski, przygotowali ofiarni patrioci poprzez długoletnią pracę na polu kulturalno-oświatowym. „Odzyskaliśmy niepodległość przez to, żeśmy walkę z państwami zaborczymi o duszę ludu polskiego wygrali jeszcze przed wielką wojną. Wygraliśmy ją przez pracę kilkudziesięcioletnią tajnej oświaty ludowej, Towarzystwa Szkoły Ludowej, Macierzy, Kółek Rolniczych, Banków Ludowych, Sokoła itd.

Ta praca kulturalno-oświatowa zespółiła warstwy wykształcone i posiadające narodu z masami ludowymi. A z zespolenia tego wynikło zespolenie ludu z całą naszą historyczną cywilizacją. Miliony włościan i robotników polskich poczuły się spadkobiercami chwały czynów Bolesławowych, triumfu Grunwaldzkiego, ofiarnych walk wszystkich naszych powstań.

I dlatego, wbrew rachubom wszystkich trzech mocarstw, które Polskę były ujarzmiły, naród polski nie stał się w czasie wielkiej wojny narzędziem ich planów, miał własną myśl i wolę, stał się samodzielną czynną siłą polityki i wojny europejskiej i odzyskał niepodległość państwową”. Po odzyskaniu niepodległości nastąpiło jednak załamanie moralne, rozejście się warstwy politycznej z masami wyborców, zerwanie łączności między polityką a pracą społeczną. Wobec takiego stanu rzeczy, Polacy zaczęli tracić wiarę w Polskę. Jedynym sposobem zaradzenia temu kryzysowi był zaprogramowany i świadomy powrót elit, a raczej tych, którzy aspirowali do tej roli, do zaniechanej i zlekceważonej pracy kulturalno-oświatowej i społeczno-politycznej dla Polski. Podjęcie na nowo tego wysiłku byłoby niemożliwe bez nakreślenia programu, bez wskazania niedomagań oraz sposobu ich przezwyciężenia. Koncepcja Obozu Wielkiej Polski, sformułowana przez Dmowskiego, padła na podatny grunt i zaowocowała powstaniem takiego właśnie, masowego ruchu odnowy moralnej. Niezależnie od tego, jak dziś oceniamy późniejszą ewolucję ruchu narodowego, nie ulega wątpliwości, że koncepcja wprężenia młodego pokolenia Polaków w służbę „Wielkiej Polsce”, zaowocowała nie tylko wzrostem aktywności obywatelskiej, ale również narodzinami nowej jakościowo elity politycznej, cieszącej się masowym poparciem społecznym. To pokolenie „odnowy moralnej” wydało z siebie takich reprezentantów, jak Tadeusz Bielecki, Zygmunt Berezowski czy Wojciech Wasiutyński, a także tysiące innych młodych ludzi, którzy po upadku Polski w 1939 roku poświęcili swe życie w walce o wolność i ideały.

Po 1989 roku sytuacja pod wieloma względami przypomina wyzwania, z jakimi mieli do czynienia Polacy żyjący w II Rzeczypospolitej. Nastąpił kryzys państwa i niebezpieczne wyobcowanie instytucji demokratycznych, rozprzestrzenił się zgubny marazm społeczny i demoralizująca niewiara w Polskę. Niestety, elita postsolidarnościowa, czy też „okrągłostołowa”, nie potrafiła ani trafnie ocenić przyczyn kryzysu, ani dokonać jakiegokolwiek samokrytyki, nie mówiąc już o sformułowaniu wiarygodnej i racjonalnej wizji naprawy państwa czy gospodarki. Po dwudziestu czterech latach od wielkiego zrywu w sierpniu 1980 roku, niewiele dziś pozostało z masowego ruchu, z ówczesnej eksplozji aktywności obywatelskiej, z żywiołowego ruchu naprawy Rzeczypospolitej. Patriotyzm, solidaryzm społeczny, praca społeczna, uczciwość, zdają się dziś ustępować pola kultowi sukcesu materialnego, pędowi za sławą i pieniędzmi, postawie hedonizmu, nihilizmu i najzwyczajniejszego w świecie cynizmu. „Solidarność” wygrała walkę z komunizmem, ale jej idee przegrały w konfrontacji z rzeczywistością „okrągłostołowej” Polski. Pisałem już wielokrotnie o tym, dlaczego tak się stało i ile w tym było (jest) winy elit, wywodzących się z ruchu „Solidarności”. Zainteresowanych odsyłam do tekstów zamieszczonych w mojej książce „Eppur si muove, czyli w obronie zdrowego rozsądku” (Gdańsk 2002). Swoistą rekapitulację moich ocen zawiera analiza pt. „Drogi i bezdroża „Solidarności” („Sprawa Polska” Zima 2002), którą można uznać za swoisty *appendix* do obecnych rozważań.

Powstaje pytanie, co dalej? Mamy dziś Polskę taką, jaką mamy. Polskę „okrągłostołową”, której elity albo wywodzą się z komunistycznego aktywu PZPR i jej przybudówek, albo też z tej części dawnej opozycji antykomunistycznej, która weszła w układ z komunistami. Ci pierwsi zamienili władzę ideologii na władzę pieniądza, ci drudzy porzucili własne ideały, uzyskując w zamian prawo wejścia w skład nowego establishmentu. Ani jedni, ani drudzy nie podjęli próby zbudowania wielkiego obozu Sprawy Polskiej, w ten sposób wystawiając świadectwo samym sobie i swoim prawdziwym (a nie deklarowanym publicznie) motywacjom. Przeciwno tej Polsce, pogardliwie ochrzczonej mianem „republiki koleśków” nie było i nie ma zorganizowanej opozycji. Po śmierci w 1981 roku prymasa

Stefana Wyszyńskiego, *interrex*, w Polsce zabrakło przywódcy, przewodnika, wskazującemu narodowi przysłowiowe światło w mrocznym tunelu. Opozycja wobec układu „okrągłostołowego” została najpierw zdominowana przez krzykliwych i prostackich „hurra-antykomunistów”, których horyzont myślowy ograniczał się do wiecznego „obalania” komunizmu. Opozycja określana mianem „prawicowej”, choć lepsze byłoby określenie „antykomunistyczna”, przez lata zajmowała się i wciąż zajmuje się tematami drugorzędnymi, albo takimi, które należało wpisać w skład całościowego programu. Jeżeli chcielibyśmy zrozumieć dlaczego – mimo społecznego gniewu i niezadowolenia, pomimo stałego odrzucania w kolejnych wyborach parlamentarnych partii i ludzi kojarzonych z władzą – elita „okrągłostołowa” przez 15 lat zachowała monopol władzy, odpowiedź jest oczywista: bo nie powstała żadna kompleksowa alternatywa, nie sformułowano programu budowy innej, lepszej Polski. Przecież głoszenie sprzeciwu wobec zawierania kompromisu z ekskomunistami nie mogło zastąpić programu! Nie mogło nawet stanowić punktu wyjścia do tworzenia programu, ponieważ wystawiało swym twórcom świadectwo nieumiejętności uprawiania polityki. Polityka jest wszak sztuką zawierania kompromisów. Alternatywą wobec kompromisu jest stan wojny.

Nie chodzi zatem o przeciwstawianie radykalizmu zdrowemu rozsądkowi. Łatwiej jest burzyć niż budować, ale nam chodzi przede wszystkim o budowanie lepszej Polski, a nie o nieustanne niszczenie kolejnych „domków z kart”. Demagogia żeruje na uzasadnionych nastrojach goryczy i niezadowolenia. Jest – w ograniczonym zakresie – na rękę rządzącej elicie, która zawsze może wyciągnąć „straszaka” w postaci Andrzeja Leppera i zaszantażować społeczeństwo wyborem: albo my, albo on. Nie chodzi również o zastąpienie skorumpowanej i zdegenerowanej klasy politycznej ludźmi, którzy mogą się okazać jeszcze gorsi od swych poprzedników. Polsce potrzebny jest program racjonalny, rozsądny, umiarkowany, pokazujący co i jak należy zmienić. Polsce potrzebni są ludzie, którzy podejmą się realizacji tego programu. Muszą to być ludzie jakościowo lepsi od mieszkańców i bywalców „republiki kolesiów”. Społeczeństwo, zrażone do polityki i nieufne, musi poznać innych ludzi: gotowych do poświęceń, skromnych, pracowitych, uczciwych, prawdomównych. I wreszcie, ten nowy program i tych nowych ludzi, musi wesprzeć i to przez dłuższy okres czasu, fala społecznego poparcia. Inaczej realizacja tego i każdego innego, choćby najlepszego programu, załamię się. Bowiem dzisiejszą Polskę bardzo trudno będzie naprawić. Zbyt wiele spraw zaszło zbyt daleko.

Trudne, nie oznacza jednak „niemożliwe”. Piszący te słowa uważa, że póki Polacy mogą korzystać z niezwykle sprzyjającej koniunktury międzynarodowej, mamy realne możliwości przeprowadzenia wewnętrznego „remanentu”. Aby jednak naprawić Polskę, trzeba najpierw sformułować program. Stąd ta publikacja, która nie rości sobie pretensji do głoszenia prawd objawionych, ale stanowi jedynie głos – mam nadzieję, że ważny i twórczy – w debacie na temat przyszłości Polski, debacie którą trzeba bezwzględnie zapoczątkować. Nie zapominając, że nawet najlepszy program, muszą poprzeć i realizować najlepsi z Polaków. A ci z kolei, muszą czuć za sobą poparcie milionów rodaków, takich jak ludzie „(...) którzy poczuli / Że są wreszcie teraz u siebie / Solidarnie walczą o dzisiaj / I o przyszłość (...)”

II. Jaka demokracja?

Proces wychodzenia Polski z komunizmu był niemal tożsamy z procesem demokratyzacji ustrojowej. Nie należy jednak zapominać o tym, że mówimy o dwóch odrębnych zagadnieniach, niekoniecznie złączonych nierozzerwalnymi więzami. Był przecież rozważany model wychodzenia z komunizmu przez autorytarne państwo, sterujące w

kierunku gospodarki kapitalistycznej. Na naszych oczach załamuje się demokracja w krajach, które jeszcze na dobre nie wyszły z komunizmu, takich jak Rosja czy Białoruś. Powyższe dwa przykłady świadczą o tym, że – przynajmniej w teorii – porzucenie pryncypiów ideologii komunistycznej nie musi oznaczać automatycznej akceptacji dla ustroju demokratycznego. Przyjęcie po 1989 roku przez suwerenną Polskę modelu demokratycznego, wynikało nie tylko z akceptacji modelu powszechnie funkcjonującego w krajach Zachodu, ale również – z czego może nie zawsze zdajemy sobie sprawę – z bogatej tradycji demokracji w Polsce. Polska przedrozbiorowa, zwana często Rzeczpospolitą szlachecką, była republiką demokratyczną. Szlachta, będąca narodem w sensie politycznym, wybierała królów, wybierała swych przedstawicieli do Sejmu i cieszyła się – przynajmniej teoretycznie – równością wszystkich obywateli wobec prawa („Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”). Demokracji ustrojowej towarzyszyła demokracja społeczna. Szlachta wybierała swych królów podczas wolnych elekcji *virilim*. Mogła również, a nawet była zobowiązana do zawiązywania w momentach szczególnego zagrożenia dla bytu państwowego, pospolitego ruszenia i konfederacji, które miały moc przejmowania odpowiedzialności za państwo i zawieszania funkcjonowania istniejących instytucji demokratycznych. W tym sensie Rzeczpospolita szlachecka była republiką demokratyczną, z położeniem akcentu na republikę, jako wartość nadrzędną. Hasła demokratyczne głosił również ruch narodowy, który pod koniec XIX i na początku XX wieku doprowadził do rozszerzenia pojęcia narodu na wszystkie grupy społeczne. Do tych dawnych tradycji republikańskich i mniej odległych - wszechpolskich, w sposób nieświadomy odwoływał się spontaniczny i tworzony oddolnie ruch „Solidarności” lat 1980-1981. W 1989 roku wybór był więc tylko jeden. Polska – jeśli miała nawiązywać do przeważających, rodzimych tradycji, do swego „ducha narodowego”, musiała być Polską demokratyczną. Nie było u nas miejsca na dylemat, jaki przeżywała niegdyś prawica europejska, stojąca po stronie „ołtarza i tronu” (Kościoła i monarchii), atakowanych zaciekle przez liberałów i lewicę. obrońcy tradycji w Polsce stali po stronie „ołtarza i Rzeczpospolitej” (Kościoła i Polski). W Polsce prawica mogła i może dziś odwoływać się do pięknej tradycji republikańskiej demokracji szlacheckiej, chlubnego dorobku narodowo-demokratycznego ruchu Romana Dmowskiego oraz *quasi*-konfederacji narodowej, wielkiej eksplozji odrodzeńczej, jaką była pierwsza „Solidarność”.

Ustrój demokratyczny, jak słusznie podkreślał już Alexis de Tocqueville, wymaga jednak – dla sprawnego funkcjonowania – istnienia zaplecza w postaci demokracji w sensie społecznym. Każdy ustrój może ulec degeneracji, również demokracja. W ustroju demokratycznym – ze względu na formułę „rządów ludu” – na społeczeństwie spoczywa zatem odpowiedzialność za sprawowanie kontroli nad jakością rządzenia i zabezpieczenie sprawności funkcjonowania instytucji państwowych. Demokracja w sensie społecznym oznacza w praktyce: rozpowszechnienie aktywności obywatelskiej, poczucia odpowiedzialności za dobro publiczne, zdolność do oddolnej mobilizacji w sytuacjach kryzysowych lub w przypadkach ewidentnego zakłócenia pracy instytucji publicznych, szybkie i sprawne uzupełnianie lub wymiana elit ulegających degeneracji, zdolność do sprawowania codziennej, masowej kontroli przestrzegania norm i obyczajów zapewniających zdrowie ustrojowi demokratycznemu.

O ile ustrój demokratyczny (wybory, pluralizm polityczny) funkcjonuje w Polsce dość sprawnie, o tyle właściwie trudno dziś mówić o sprawowaniu skutecznej kontroli społecznej nad procesem rządzenia. Pomimo głośnej propagandy na rzecz „społeczeństwa obywatelskiego”, demokracja w sensie społecznym w Polsce nie rozwinęła się na tyle, by mogła zapobiec degeneracji państwa. Z jednej strony komunizm zgłajchszaltował społeczeństwo, zamieniając je w masę w znaczącym stopniu zatomizowaną, co zaowocowało podatnością na manipulacje i zanikiem postaw obywatelskich, z drugiej strony elita „okrągłostołowa”, zarówno z lewicy jak i koncesjonowanej prawicy, od samego początku

traktowała społeczeństwo przedmiotowo, jako „ciemną masę”, która stoi na przeszkodzie na drodze do „modernizacji” i „demokratyzacji”.

Kompromis symbolizowany przez „Okrągły Stół”, zawarto ponad głowami społeczeństwa. Zapewne nie było innej, lepszej drogi pokojowego rozmontowania komunizmu. Jednakże to, co dało się jeszcze uzasadnić na początku przemian, stało się na długo integralnym składnikiem polskiej rzeczywistości, zaczynem późniejszej degeneracji państwa. Strona komunistyczna jedynie drogą wielkiej manipulacji mogła dokonać zawłaszczenia polskiego majątku narodowego. Natomiast strona „solidarnościowa” systematycznie odchodziła od społecznego charakteru ruchu „Solidarności”. Taka była cena, jaką przywódcy opozycji musieli zapłacić w zamian za dobrowolne dopuszczenie przez elitę komunistyczną do współudziału w rządzeniu państwem i „prywatyzowaniu” majątku państwowego. Dla kształtu polskiej demokracji decydujące znaczenie miały pierwsze posunięcia ówczesnych decydentów, zasiadających przy stole rokowań. Po stronie opozycyjnej liderem był Lech Wałęsa. Wyzaczył on swą „drużynę” w sposób arbitralny. Nie był jednak w stanie, albo też nie chciał (historycy wyjaśnią w przyszłości tę kwestię), przeprowadzić prawdziwej dekomunizacji Polski i demokratyzacji w sensie szerszym, społecznym, a nie jedynie formalnym, ustrojowym. Do zrealizowania takiego zadania nie wystarczyła wąska drużyna, potrzebne było poparcie społeczne. Wałęsa mógł liczyć na ogromny kapitał zaufania, o czym świadczy jego zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 1990 roku i poparcie blisko połowy wyborców w 1995 roku, pomimo oczywistego już wówczas, całkowitego fiaska głoszonej przez niego koncepcji budowy nowej, lepszej Polski. Jednakże Wałęsa a wraz z nim cała elita wywodząca się z „Solidarności”, już w 1990 roku musiał odejść od głoszonego wcześniej programu. Program Balcerowicza był bowiem odejściem od wcześniejszego, prospołecznego programu „Solidarności”. Nie można było zrealizować dekomunizacji w warunkach celowego i świadomego „wygaszania” aktywności społecznej. Nie można było powiedzieć społeczeństwu całej prawdy o kosztach niezbędnych reform, bez jednoczesnego ukarania winnych katastrofalnej zapaści gospodarczej u progu 1990 roku, czego chciano uniknąć, aby zapewnić bezpieczeństwo postkomunistom. Działania polityków prawicowych, takie jak poparcie dla kandydatów PZPR w drugiej turze wyborów czerwcowych w 1989 roku, wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta głosami polityków „solidarnościowych”, koncepcja „grubej kreski” rządu Tadeusza Mazowieckiego – to tylko początek całej serii działań podejmowanych przez ludzi dawnej opozycji, w celu ochrony interesów dawnej PZPR i dotrzymania zobowiązań, ustalonych przy okrągłym stole.

Podziały, kłótnie i konflikty, jakie toczyły się pomiędzy prawicowymi politykami w latach 1990-1997, świadczą o braku poczucia rzeczywistości i zatraceniu przez nich busoli, wskazującej kierunek dążeń politycznych. Kłótnie personalne zastąpiły program, walki o wpływy, stanowiska, synekury, zastąpiły pracę społeczną. Nie sposób było odróżnić tego, co w polskiej prawicy wartościowe od tego, co należało jak najszybciej usunąć, wyeliminować w interesie samej prawicy i jej przetrwania. Nic dziwnego, że cała prawica ponosiła koszty popełnianych błędów a także żyrowania „neoliberalnej” koncepcji gospodarczej. Społeczeństwo reagowało coraz większym zniechęceniem i niezadowoleniem. Niemal w każdych wyborach opowiadało się za zmianami, a w rezultacie – pomimo wszystko - następowała kontynuacja „okrągłostołowego” *status quo*. W 1989 roku Polacy zdecydowanie odrzucili komunizm, co potwierdzili poparciem dla Wałęsy w 1990 roku głoszącego hasła zdecydowanego przyspieszenia procesu wychodzenia z komunizmu, usunięcia aparatu postkomunistycznego (hasła dekomunizacji i „puszczenia aferzystów w skarpetkach”), wreszcie zmiany kierunku przemian gospodarczych (prospołeczne i aktywistyczne „100 milionów dla każdego” w miejsce „neoliberalnego” monetaryzmu Balcerowicza). W wyborach 1991 roku zdecydowane zwycięstwo odniosły partie uchodzące za prawicowe, a z całą pewnością antykomunistyczne, podkreślające swoją krytykę *status quo* (ZChN, PC, KPN

etc). Pomimo takich wyników wyborów, nie nastąpił znaczący zwrot w polityce wewnętrznej. Jedynym punktem, który początkowo dzielił prawicę (w dodatku nie całą) od postkomunistów był pozytywny stosunek do NATO i integracji z Unią Europejską. Prawica zupełnie niepotrzebnie dała się wmanewrować w konflikt światopoglądowy, przez co kwestie ważne, ale nie najważniejsze dla polskiej polityki (takie jak aborcja, nauka religii w szkołach) zdominowały debatę publiczną, przynosząc szkody zarówno samej prawicy jak i Kościołowi. Nie mam tutaj na myśli kwestii o znaczeniu fundamentalnym, czyli określenia korzeni państwa demokratycznego, które albo będą wynikały z prawa naturalnego i Dekalogu, albo też pod parawanem państwa „neutralnego światopoglądowo” będą lansowały „neoliberalną” (relatywistyczną i nihilistyczną) wizję społeczeństwa. Politycy i partie prawicowe sprawiały wrażenie, jakby zagadnienie „korzeni” państwa i motywów zaangażowania społecznego były nieistotne, a najważniejsze było „wykazanie się” w oczach hierarchów Kościoła, co miało „zaowocować” poparciem udzielanym z ambon. Taka postawa zaowocowała wzrostem niechęci społeczeństwa zarówno do „zbyt upolitycznionego” Kościoła, jak i polityków „bardziej katolickich od Papieża”.

W 1993 roku nastąpił powrót postkomunistów do władzy, nie tyle w wyniku poparcia społecznego, co karygodnych błędów i kłótni, obarczających polityków prawicowych. Zjednoczona prawica po raz kolejny odniosła sukces wyborczy w 1997 roku (AWS) i po raz kolejny zawiodła oczekiwania społeczeństwa, rozpaczliwie poszukującego siły politycznej, zdolnej do odwrótu od „okrągłostołowego” *status quo*. Rząd Jerzego Buzka w praktyce realizował „neoliberalne” założenia gospodarcze, hamowany w swoich poczynaniach przez silny związek „Solidarność”, spełniający jednak schizofreniczną rolę „parasola ochronnego” połączoną z realizowaniem roszczeniowych żądań najsilniejszych branż związkowych. Z dawnego programu społecznego „Solidarności” niewiele ocalało, podobnie jak z koncepcji społecznego pospolitego ruszenia w imię naprawy Polski. Zamiast przyspieszenia dekomunizacji, naprawy struktur państwowych, rząd Buzka skoncentrował się na przyspieszeniu „modernizacji” państwa drogą źle przygotowanych i pogłębiających zapaść państwa reform oraz zintensyfikowaniu polityki „neoliberalnej” prywatyzacji. Efektem tych działań było bezprecedensowe zwycięstwo SLD w wyborach 2001 roku, u którego źródeł znajdowało się rozpaczliwe wołanie społeczeństwa o „zmiany” a zwłaszcza odejście od antyspołecznej polityki obozu rządzącego. W świetle tego co do tej pory napisaliśmy, nie trzeba być prorokiem, aby zrozumieć, że SLD nie tylko nie mógł, ale absolutnie nie zamierzał dokonywać jakichkolwiek zmian. Rzecz jasna, kierunek „neoliberalizmu” gospodarczego i „modernizowania” Polski, nie uległ zmianie, co najwyżej zmienił się język i ton dyskursu. Elektorat po raz kolejny poczuł się oszukany i po raz kolejny zaczął poszukiwać alternatywy. Najlepszą marketingowo propozycję przedstawiła Platforma Obywatelska, grupująca największych zwolenników „neoliberalizmu” oraz „modernizacji” i ona prawdopodobnie stanie się kolejnym kandydatem do stworzenia nowego rządu, który – podobnie jak wszystkie poprzednie – nie dokona żadnych istotnych zmian. Powstaje pytanie, jak to możliwe, aby partia głosząca program sprzeczny z oczekiwaniami społecznymi, osiągnęła sukces wyborczy? Odpowiedź jest oczywista: na scenie politycznej nie może być pustki. Wobec oczywistej niezdolności polskich elit politycznych do wygenerowania jakiegokolwiek alternatywy programowej wobec *status quo*, wyborcy (podatni na manipulację, nacisk medialny, reklamę), kupują produkt najładniej opakowany. Po prostu, nie mają innego wyboru, poza pozostaniem w domu i absencją wyborczą.

Wiemy już, że nie udało się skutecznie zmienić państwa, a ustroj demokratyczny pozbawiony podglebia w postaci demokratycznego społeczeństwa, nie wydał spodziewanych owoców. Jakie państwo zbudowaliśmy? Dzisiejsza Polska stanowi syntezę pozostałości po Polsce lat 70. oraz istotnych zmian, wynikających z przyjęcia demokratycznych założeń ustrojowych i „neoliberalnej” ideologii. Podobnie jak w dekadzie Edwarda Gierka i PRL,

Polska lat 90. przeżywała okres przyspieszonej modernizacji, proces w znacznej mierze kontrolowany, jeśli nie sterowany przez państwo. Pomimo dokonanych przemian ustrojowych, wciąż dominuje myślenie o państwie w kontekście gospodarczym, zwłaszcza w kontekście konsumpcji i niezadowolającego zaspokajania roszczeń społecznych. Podobnie jak w okresie rządów nomenklatury PZPR, wciąż nie udało się zerwać ani z etatyzmem, ani ze zjawiskiem swoistej arogancji władzy, pogłębiającej, w warunkach kryzysu, zjawisko wyobcowania elity rządzącej ze społeczeństwa.

Co uległo zmianie? Polska stała się państwem, którego elity są wybierane zgodnie z demokratycznymi procedurami. Nastąpiło monteskiuszowskie rozdzielenie władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Jednakże podstawowe oczekiwanie społeczne z pamiętnego 1980 roku nie zostało do dziś zrealizowane: nie powstało wymarzone „dobre państwo”, „nasze państwo”, państwo będące emanacją interesu narodowego. „Neoliberalna” koncepcja ideologiczna zakłada, że demokracja jest, jeśli nie wroga, to co najmniej obojętna wobec prawdy, piękna i dobra. Liczy się wyłącznie technika uzgadniania interesów i sposobów ich realizacji. Obojętność wobec prawdy owocuje rozkwitem postaw oportunistycznych i wręcz nihilistycznych. W miejsce tradycyjnych wartości, takich jak prawda, piękno, dobro, rozprzestrzenia się kult bogactwa, sukcesu, rozgłosu. Budowanie kapitalizmu i demokracji bez solidnych fundamentów, w oparciu o ideologię „demoliberalną”, nie mogło jednak przynieść ozdrowieńczych rezultatów.

Dopóki będziemy poruszali się w tym samym kręgu: ustroju demokratycznego i ideologii „neoliberalnej”, dopóty na niczym spełzną wszelkie próby naprawy państwa. Zmiany prawne mogą usprawnić funkcjonowanie mechanizmów demokracji przedstawicielskiej, która i bez nich funkcjonuje nie najgorzej, ale w żaden sposób nie zagwarantują wyboru ludzi nieskorumpowanych i kompetentnych. Państwo polskie źle funkcjonuje nie tylko tam, gdzie nie dokonano od lat żadnych zmian, ale również tam, gdzie przeprowadzono śmiało reformy, zgodne z duchem „otwartości”, przekazywania kompetencji „w dół” i ograniczania roli państwa.

W moim głębokim przekonaniu problem złego państwa nie leży w złych regulacjach prawnych (choć nie neguję tego, że mamy wiele złych ustaw), ale w tym, że obywatele nie są w stanie – z tych czy innych względów – sprawować skutecznej kontroli i wpływać w odpowiedni sposób na funkcjonowanie własnego państwa. To jest prawdziwy dramat, zważywszy, że mamy do czynienia z ustrojem demokratycznym. Zrozumienie tego, że istotą problemu jest słabość społeczeństwa demokratycznego, a nie wadliwe funkcjonowanie struktur i instytucji publicznych, jest najważniejszym elementem moich rozważań o państwie polskim. Mówiąc obrazowo, wszelkie debaty i spory wokół likwidacji niepotrzebnych instytucji, decentralizacji, zmian ordynacji wyborczej *etc.* poruszają się jedynie po powierzchni wody, pod którą znajduje się ogromna góra lodowa i przypominają nawoływania do obcinania głów hydrze. W miejsce ściętych głów natychmiast pojawiają się nowe. By temu zapobiec Herakles kazał swojemu bratankowi Iolaosowi natychmiast po obcięciu głów wypalać rany płonącymi pochodniami. W dzisiejszej Polsce, dla wyplenienia zła, zmianom i regulacjom prawnym musi koniecznie towarzyszyć skuteczna kontrola sprawowana oddolnie przez społeczeństwo demokratyczne. Społeczeństwo zaś nie może obyć się bez busoli moralnej, pozwalającej odróżnić dobro od zła. Tam gdzie króluje relatywizm i nihilizm, następuje nieuchronna degeneracja i rozpad.

Ustrój demokratyczny w Polsce należy koniecznie wzmocnić i uzdrowić poprzez wzniecenie ognia aktywności obywatelskiej, rozwój rozmaitych ruchów i inicjatyw składających się na społeczeństwo demokratyczne. Społeczeństwo zaś potrzebuje busoli wskazującej kierunek, prawdziwych autorytetów - ludzi kreujących koncepcje polityczne i konsekwentnie pracujących nad ich realizacją - kultywowania i pielęgnowania wartości

pozwalających oddzielić to, co dobre od tego co złe, przywrócenia tradycyjnej hierarchii wywyższającej cnotę ponad bogactwo, sprawiedliwość ponad sukces, zasługę ponad rozgłos.

Postaram się zilustrować – na trzech przykładach - funkcjonowanie obecnej demokracji „sterowanej odgórnie”, demokracji biurokratyczno-oligarchicznej, następnie wykazać iluzoryczność podejmowanych prób naprawy ograniczonych wyłącznie do zmian prawa, a na koniec wskazać, w jaki sposób dokonać prawdziwego i trwałego uzdrowienia poprzez ustanowienie prawdziwej suwerenności ludowej, czyli demokracji społecznej.

Pierwszy przykład: system partyjny. Dla większości obywateli żyjących w Polsce, nie ulega wątpliwości, że system wyłaniania osób reprezentujących społeczeństwo w organach decyzyjnych źle funkcjonuje. Najogólniej rzecz ujmując, wola wyborców, wyrażana podczas wyborów, nie przekłada się następnie na decyzje, podejmowane przez wybranych reprezentantów narodu. Wybory według ordynacji proporcjonalnej w 1991 roku doprowadziły do tak znacznego rozproszkowania sceny politycznej, że przeciętny wyborca pogubił się w gąszczu partii i partyjek politycznych, a debatę publiczną zdominowały bezsensowne i niezrozumiałe animozje i kłótnie personalne. Sejm został przedwcześnie rozwiązany. Na szczęście nastąpiła zmiana ordynacji wyborczej poprzez ustanowienie progu, w wysokości 5 %, uniemożliwiającego wybór do Sejmu partii politycznych, cieszących się minimalnym poparciem społecznym. Nastąpiło zmniejszenie liczby partii politycznych obecnych w Sejmie z kilkunastu do zaledwie kilku. Zmiany w ordynacji zaowocowały uporządkowaniem sceny politycznej, ale nie zadowolili tych, którzy – słusznie – w dalszym ciągu dostrzegają widoczny rozdźwięk między wolą wyborców, wyrażaną podczas wyborów, a decyzjami podejmowanymi przez posłów w czasie trwania kadencji Sejmu (podobne zjawisko występuje w przypadku organów przedstawicielskich w samorządach). Partie polityczne wciąż stanowią raczej koterie, powiązane w mało przejrzysty sposób ze światem biznesu (równie mało przejrzystym), nie zaś ruchy społeczne, czerpiące siłę z aktywności członków i oddziaływania powiązanych z nimi organizacji, stowarzyszeń, związków. Kasta polityczna jest praktycznie nieusuwalna, bowiem członkowie koterii, po utracie kontroli nad jedną partią, albo po utracie przez tą partię wpływów politycznych, przenoszą się do innej partii lub tworzą nową partię. Społeczeństwo zaś zdaje się nie dostrzegać związku między nielojalnością członków koterii wobec partii (jej programu i członków) i taką samą nielojalnością wobec państwa i wyborców. Całe polskie życie polityczne zasnuwa gęsta mgła braku odpowiedzialności polityków za jakiegokolwiek słowa i czyny. W odpowiedzi na liczne przejawy nieprawidłowości, pojawiły się postulaty dokonania kolejnych zmian w ordynacji wyborczej, a nawet powstał ruch na rzecz jednomandatowych okręgów wyborczych. Wobec oczywistych słabości partii politycznych, pojawiły się postulaty by uwolnić obywateli od „dyktatu” partii politycznych i oddać władzę w ręce ludzi obdarzonych rzeczywistym autorytetem. Doświadczenie i praktyka wskazują jednak, że proponowane zmiany w ordynacji wyborczej nie tylko nie doprowadzą do jakościowej poprawy sytuacji, ale wręcz mogą spowodować naruszenie obecnego stanu równowagi między anarchią a monopolem. Bezpośrednie wybory prezydentów największych miast polskich nie doprowadziły przecież do jakościowej zmiany na lepsze. Fakt, że w dwóch, trzech miastach do władzy doszli ludzie, którzy byli wcześniej „blokowani” przez dominujący establishment polityczny nie przemawia za tym, że nastąpiła jakościowa zmiana. W większości miast urząd prezydenta uzyskiwały osoby rekomendowane przez „okrągłostołowy” establishment. Alexis de Tocqueville zwracał uwagę, że w demokracji istnieje nieustanne dążenie większości do narzucania swej woli mniejszości, że istnieje realne niebezpieczeństwo „tyranii większości”. System jednomandatowych okręgów wyborczych mógłby przyczynić się nie tyle do osłabienia, co do ostatecznego zmonopolizowania życia politycznego w Polsce przez potężny układ „okrągłostołowy”, dysponujący pieniędzmi, wpływami w mediach, licznymi kadrami ludzi posiadających doświadczenie polityczne. Nie żyjemy dziś w świecie rządzącym się

teoretycznymi postulatami, ale w świecie realnych faktów. Fakty wskazują w sposób jednoznaczny na ogromną siłę mediów, kreujących „autorytety”, które są następnie przyjmowane przez społeczeństwo jako własne. Owe medialne „autorytety” są nie tylko ludźmi przeciętnymi, ale na dodatek nijakimi i całkowicie spolegliwymi wobec *status quo*. W sytuacji ewidentnej słabości społeczeństwa demokratycznego, ewentualne rozbitcie systemu partyjnego może zaowocować powstaniem monopolistycznego ruchu „obywatelskiego”, sterowanego przez obecny (lub nowo powstały) establishment, i na długie lata zakonserwować obecny stan. W sytuacji, kiedy politycy bardziej niż koncepcjami politycznymi przejmują się wynikami badań opinii publicznej, zmiana ordynacji wyborczej czy też zastąpienie systemu partyjnego ruchem komitetów obywatelskich, nie spowoduje jakościowej poprawy. Wręcz przeciwnie, konieczność ubiegania się o poparcie większości wyborców, a także większa „mgławicowość” programowa ruchów obywatelskich może jeszcze bardziej wzmocnić negatywne wzorce zachowań. W moim przekonaniu jedynym sposobem na dokonanie trwałej poprawy funkcjonowania obecnego systemu partyjnego jest rozwój inicjatyw społecznych, wzrost aktywności i kontroli obywatelskiej – przekładające się na wzrost świadomości obywatelskiej, a więc również tego, że nawet najlepsi ludzie nie zastąpią programu (i *vice versa*, nawet najlepszego programu nie zrealizują nieodpowiedni ludzie). Sprawnie działający system demokratyczny tworzy się latami żmudnej pracy i codziennej weryfikacji. Należy oddziaływać na istniejące partie polityczne, eliminować z życia publicznego osoby skompromitowane, zwłaszcza tzw. „nieusuwalnych”, udzielać poparcia ludziom sprawdzonym, działającym na różnych szczeblach w różnych partiach politycznych, w dalszej kolejności – być może – wykreować własną partię polityczną, tworzoną oddolnie i realizującą program, będący wypadkową społecznych oczekiwań i postulatów. Jednym zdaniem, ustrój demokratyczny powinien zostać wzmocniony przez aktywne społeczeństwo demokratyczne.

Przykład drugi: reforma państwa. O tym, że instytucje publiczne źle wypełniają swoje zadania, była już mowa. Jednym z najczęściej wysuwanych postulatów, jest hasło decentralizacji i przekazywania władzy w dół. Dokonuje się bardzo efektownego przeciwstawienia: skorumpowane i niewydolne centrum kontra uczciwe i sprawnie funkcjonujące samorządy. Uważam, że jest to bardzo uproszczony i z gruntu nieprawdziwy obraz. Korupcja przenika w Polsce wszystkie strefy życia publicznego, w tym również samorządy. Bylejakość i dyletanctwo występują o wiele częściej w samorządach aniżeli w organach administracji rządowej, bowiem te pierwsze korzystają ze swoistej, niczym racjonalnym nieuzasadnionej, taryfy ulgowej, a na tych drugich skupia się odpowiedzialność za poczynania resortowych ministrów, którzy często, rzeczywiście, wykazują się rażącą niekompetencją. Chciałbym być dobrze zrozumianym: jestem gorącym zwolennikiem decentralizacji, bowiem władza powinna znajdować się jak najbliżej obywateli i na dole lepiej widać jakie są rzeczywiste potrzeby i oczekiwania. Natomiast nie zgadzam się z poglądem, że przekazanie władzy samorządom stanowi receptę na problemy wynikające z obecnej zapaści państwa. Jeżeli nie potrafimy usprawnić funkcjonowania ministerstwa, to nie będziemy potrafili usprawnić działalności samorządowego wydziału np. edukacji. Przekazywanie kompetencji niczego nie zmienia. Zmiana nastąpi dopiero wówczas, kiedy nastąpi sprzężenie trzech czynników: uproszczenia procedur połączonego ze stabilizacją prawa, wzrostu kompetencji kadry urzędniczej oraz usprawnienia kontroli ze strony odpowiednich organów oraz samych obywateli. To, co napisałem jest może skomplikowane, ale nie istnieje prosta recepta na wyjście z obecnego stanu degeneracji struktur i instytucji publicznych. Nie chodzi przecież o formułowanie demagogicznych i chwytliwych haseł, ale o konstruktywną refleksję nad programem naprawy Polski. Reasumując, aby usprawnić funkcjonowanie państwa trzeba wyjść z istniejącego chaosu prawnego, nadmiaru przepisów, skończyć z chaotycznym prawotwórstwem, szkolić, szkolić i jeszcze raz szkolić, albo wymieniać kadrę urzędniczą na

wszystkich szczeblach samorządowych i rządowych, wreszcie rozliczać władze ze sposobu funkcjonowania podległych im instytucji, bez stosowania taryfy ulgowej i wzmacniać rolę czynnika społecznego w sprawowaniu kontroli nad funkcjonowaniem urzędów. Trzeba zdecydowanie powiedzieć, że urząd jest dla obywatela i egzekwowanie tej zasady powinno należeć do priorytetowych obowiązków naszych reprezentantów, mediów, organów doradczych, pośredniczących.

Przykład trzeci: społeczeństwo obywatelskie. Wizja społeczeństwa obywatelskiego, propagowana przez wiele liczących się środowisk, formalnie niewiele różni się od wielokrotnie postulowanego powyżej, społeczeństwa demokratycznego. Bliższa analiza wykaże jednak, że chodzi o dwie rozbieżne koncepcje. Nie miejsce tu na wchodzenie w rozważania terminologiczne. Chciałbym jedynie podkreślić, że pisząc o społeczeństwie demokratycznym, nie przeciwstawiam tego pojęcia państwu. Wręcz przeciwnie, widzę aktywność społeczną, wyrażającą się m. in. w tworzeniu stowarzyszeń, fundacji, rozmaitych inicjatywach, jako siłę wzmacniającą instytucje publiczne, a nie „wyręczającą” państwo, czy też odseparowaną od państwa. Obecnie funkcjonujące społeczeństwo obywatelskie, niezależnie od tego, czy takie były intencje twórców tej koncepcji, stanowi w znacznej mierze „przedłużenie” modelu demokracji „odgórnej”, sterowanej przez biurokrację. Państwo przekazuje część zadań, wraz ze środkami, stowarzyszeniom lub fundacjom. Państwo, poprzez rozmaite fundusze, rozdziela środki na działalność statutową fundacji i stowarzyszeń. Innymi słowy, państwo dysponując środkami publicznymi, decyduje o tym, jakie „inicjatywy” obywatelskie mają priorytet, a jakim nie należy udzielać wsparcia. Kontrola zaczyna się już *ab ovo*, ponieważ to sąd podejmuje decyzję o zarejestrowaniu lub odmowie rejestracji fundacji. Jak widać, obywatele mają niewiele do powiedzenia w sprawie tworzenia i zapewnienia środków na działalność rozmaitych inicjatyw „społecznych” i „obywatelskich”. Rezultatem tej swoistej „etatyżacji” inicjatyw obywatelskich jest „zainfekowanie” ich tymi samymi patologiami, które spowodowały degenerację instytucji publicznych. Korupcja, niekompetencja, działalność obliczona na „dorobienie się”, przerost biurokracji, układy z „republiką kolesiów” są – niestety – zjawiskiem nagminnie występującym wśród fundacji i stowarzyszeń. Zatem, głoszenie koncepcji ograniczania roli państwa i przekazywania zadań organizacjom pozarządowym, nie stanowi recepty na drążącą Polskę chorobę. Jedynym sposobem na dokonanie jakościowego zwrotu jest stworzenie autentycznej sieci inicjatyw obywatelskich, która będzie w całości odpowiedzialna przed obywatelami, a nie przed państwem. Rzecz jasna, do wykonywania zadań potrzebne są środki. Wprowadzenie odpisów od podatku (nie od podstawy opodatkowania!), czyli kwot, które podatnik mógłby przekazywać dowolnie wybranemu przez siebie stowarzyszeniu lub fundacji, pozwoliłoby na uzdrowienie sytuacji i wykreowanie sieci autentycznych organizacji pozarządowych, tworzonych przez prawdziwych społeczników i zaspokajających rzeczywiste potrzeby społeczne. Nie muszę dodawać, że należy znieść swoisty woluntaryzm sądu w sprawie rejestracji fundacji, a także finansowanie organizacji pozarządowych z budżetów instytucji publicznych. To obywatele powinni samodzielnie i bezpośrednio decydować o podziale środków (pochodzących z ich podatków!) przeznaczanych na wspieranie inicjatyw „pozarządowych”.

Polska posiada wspaniałe tradycje demokratyczne, dzięki czemu ustrój demokratyczny nie musi być budowany ani na siłę, ani w oderwaniu od „ducha” polskości. Po 1989 roku popełniono kardynalny błąd, usiłując budować Polskę bez koniecznego wsparcia i współdziałania społecznego, za to bezkrytycznie kopiując zewnętrzne wzorce i „neoliberalną” ideologię”. W rezultacie powstało chore państwo, którego samozwańcza elita utrzymuje się u władzy dzięki sprytnym manipulacjom, ale nie posiada już zdolności do samooczyszczenia się i regeneracji. Taki stan może trwać jeszcze bardzo długo i nie zmienią tego żadne powierzchowne zmiany prawne. Jedyną skuteczną receptą na słabość polskiej demokracji jest

wzmocnienie jej oddolnie poprzez rozwój społeczeństwa demokratycznego, które stopniowo przejmowałoby kontrolę nad kolejnymi segmentami życia publicznego, przywracając im zdrowie, a na koniec dokonałoby wymiany elity „okrągłostołowej” i zastąpiło ją ludźmi zdolnymi do sprostania wysokim standardom umysłowym i moralnym. Naprawy państwa może dokonać jedynie żywiłowo rozwijające się społeczeństwo demokratyczne, które przywróci w życiu publicznym tradycyjną hierarchię wartości i wykreuje nową elitę zdolną do realizacji założeń programowych i do dokonywania pozytywnej selekcji własnych kadr przywódczych.

III. Jaki kapitalizm?

Wielu publicystów zwracało w przeszłości uwagę, że ideologia komunistyczna była traktowana w państwie komunistycznym jak substytut wiary religijnej. Istotnym łącznikiem między religią a wiarą komunistyczną było istnienie prawd objawionych, nie podlegających żadnym wątpliwościom, ani dyskusjom. Niestety, wraz z odrzuceniem jednej ideologii, nie nastąpiło gruntowne oczyszczenie naszej umysłowości z infekcji, jaką niewątpliwie jest istnienie jakichkolwiek zadekretowanych, świeckich prawd objawionych. Wykrycie obecności tego quasi-religijnego światopoglądu nie jest trudne. W świecie komunistycznym próby jakiegokolwiek krytyki „jedynie słusznego kursu” powodowały oficjalne napiętnowanie krytyka jako tzw. „elementu antysocjalistycznego”. W Polsce po 1989 roku, umysły ukształtowane wcześniej w atmosferze przesiąkniętej tego typu prawdami objawionymi, nie potrafiące samodzielnie dochodzić do prawdy ani tolerować istnienia jakichkolwiek kolorów pośrednich pomiędzy czarnym i białym, po oficjalnym napiętnowaniu i odrzuceniu ideologii komunistycznej, odnalazły się w roli „wyznawców” nowej, świeckiej wiary. Dzisiejsza wiara w kapitalizm jest pod wieloma względami kopią niegdysiejszej wiary w komunizm, tyle że z pozycji *à rebours*. To, co niegdyś było białe, dziś jest czarne, a to co było czarne, dziś jest białe. Kiedyś bożyszczem była równość, dziś jest nią nierówność, kiedyś jedyną słuszną własnością była własność państwowa, dziś jest nią własność prywatna *etc, etc*. I podobnie jak w dobie komunizmu nie było możliwe dyskutowanie nad innymi modelami komunizmu, bowiem należało popierać „jedynie słuszny”, oficjalnie namaszczony i poświęcony model komunizmu, tak dzisiaj nie jest możliwe publiczne wątplenie o słuszości raz obranego (reforma Leszka Balcerowicza) „neoliberalnego” modelu kapitalizmu. Każdy kto odważy się poddać krytyce model gospodarczy ukształtowany przez takich decydentów, jak Leszek Balcerowicz, Janusz Lewandowski i ich następcy z prawicy i lewicy, zostaje natychmiast okrzyknięty „populistą” lub „zwolennikiem socjalizmu”, czyli określeniami będącymi współczesnymi synonimami wyrażenia „element antykapitalistyczny”.

Analogie pomiędzy wczorajszą wiarą w komunizm a dzisiejszą wiarą w kapitalizm są uderzające. Oczywiście i w jednym i w drugim przypadku istnieje utopijny ideał, ku któremu zmierzamy „w pocie czoła i codziennych zmaganiach”, choć wystarczy rzut oka, by się przekonać, jak daleko rzeczywistość odbiega od wyśnionego „raju na ziemi”. Współczesnym ideałem jest „czysty kapitalizm”, czyli gospodarka nie podlegająca jakimkolwiek regulacjom, całkowicie sprywatyzowana, w której jedynym regulatorem jest wolna, niczym nie skrepowana konkurencja pomiędzy podmiotami gospodarczymi. Świat – według tej utopii – jest prosty i nieskomplikowany. Wszystko się samo reguluje i oczyszcza, funkcjonuje bez zarzutu i potrzeby jakiegokolwiek ingerencji. Zwycięza najlepszy, najbardziej konkurencyjny, a ci, którzy przegrywają, uzyskują jałmużnę od tych, którzy wygrali rywalizację. Oczywiście, rzeczywistość w niewielkim stopniu przypomina ów wyśniony ideał. Jednakże na wszelkie niedogodności czy problemy istnieje jedna odpowiedź: należy jeszcze bardziej energicznie dążyć do realizacji wyśnionego ideału, czyli jeszcze więcej prywatyzować, likwidować

kolejne niepotrzebne instytucje państwowe, znosić podatki i ograniczenia, regulacje i cła. Receptą na wszystkie problemy jest wolny rynek. Rzecz jasna, większość wyznawców nowej wiary zdaje sobie sprawę z tego, że kapitalistyczny ideał nigdy nie istniał i zapewne nigdy nie zaistnieje w rzeczywistości. Podobnie było z komunistami, którzy budowali komunistyczny ideał, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo efekty ich starań odbiegają od wyśnionego ideału. Istotą tej nowej wiary nie było i nie jest jednak przekonanie o możliwości realizacji takiego czy innego ideału. Istotą jej jest odrzucenie tradycji i marzenie o „ruszeniu z posad bryły świata”, czyli o budowaniu nowego, lepszego ładu, w miejsce istniejącego dotychczas. Dla komunistów było to odrzucenie Polski przedwojennej i budowanie „ustroju sprawiedliwości społecznej”, dla dzisiejszych „neoliberalistów” jest to odrzucenie PRL i „modernizowanie Polski”. W obu przypadkach każdy niezadowolony z raz obranego kierunku, staje się „wrogiem”, z którym nie prowadzi się rzeczowych dyskusji czy merytorycznych polemik, co najwyżej obrzuca go wyzwiskami i tzw. „błotem”. Wczorajszy „agent amerykańskiego i brytyjskiego wywiadu” jest dziś „zwolennikiem Kuby, Rosji, Chin i Korei”, a „zwolennik Polski sanacyjnej i burżuazyjnej” dziś musi koniecznie być „wielbicielem PRL”. Wystarczy czytać komentarze regularnie zamieszczane na łamach największych czasopism politycznych, jak „Wprost”, „Gazeta Wyborcza” czy „Newsweek”, by przekonać się, że z krytykami obecnego modelu gospodarczego i obranego kierunku przemian nie polemizuje się, tylko obrzuca ich epitetami, wśród których „populista” i „zwolennik socjalizmu” należą do mniej obraźliwych. W tym miejscu konieczne jest wyjaśnienie pewnego nieporozumienia. Oczywiście w „poprawnych politycznie” mediach jest dopuszczalna, a niekiedy nawet (jeśli pismo sympatyzuje z opozycją) mile widziana, krytyka niedomagań obecnego modelu gospodarczego, jednakże wyłącznie przy założeniu, że jest ona podejmowana z pozycji ortodoksyjnych, czyli krytykuje się istniejący model za to, że zbyt odiega od utopijnego ideału, że jest zbyt mało „kapitalistyczny”, „wolnorynkowy”, „liberalny”.

Powyższe wprowadzenie było konieczne, ponieważ refleksja nad pożądanym modelem gospodarczym, jeśli ma być twórcza i efektywna, musi być wolna od jakichkolwiek założeń i prawd, przyjmowanych „a priori”. Rzecz jasna, podstawą naszych rozważań, o czym świadczy samo tytułowe pytanie, jest akceptacja kapitalizmu. Jednakże akceptacja kapitalizmu – w przeciwieństwie do quasi-religijnego kultu np. monetaryzmu Balcerowicza - jest oparta na racjonalnych podstawach. Kapitalizm od dziesięcioleci doskonale sprawdza się „w działaniu” w krajach zachodnich. Jednakże kapitalizm funkcjonujący w krajach zachodnich przybiera najróżniejsze formy w zależności od kraju; co więcej, w żadnym kraju nie przypomina wyśnionej „kapitalistycznej utopii”. Wręcz przeciwnie, przestrzeń objęta tzw. „wolnym rynkiem” pozostaje ze wszystkich niemal stron ograniczona - w różnym stopniu - regulacjami, podatkami, normami, mniejszym lub większym sektorem państwowym etc., czyli innymi słowy, zgodnie z terminologią obowiązującą w dzisiejszej Polsce, jest ograniczona „rozwiązaniami socjalistycznymi”. Dla naszych rozważań ważne jest zrozumienie, że każdy kraj wypracował mniej lub bardziej efektywny i wydajny, lepiej lub gorzej funkcjonujący, model gospodarki kapitalistycznej.

Polska również może i powinna wypracować własny model gospodarczy. W gruncie rzeczy już taki model - tyle, że wadliwie funkcjonujący – wypracowała. Polski kapitalizm tworzono bez publicznej debaty, narzucając Polakom odgórnie pewne, najczęściej teoretyczne, schematy ekonomiczne. Patrząc z punktu widzenia liberalnej, „wolnorynkowej” ortodoksji, polski kapitalizm od zarania swego istnienia był skażony „etatyzmem”. Skala pomieszania sfery gospodarczej z polityczną nie wzbudzała jednak nigdy większych wątpliwości u urzędników „modernizacji” Polski, z jednym wyjątkiem: zwłaszcza ostatnio ubolewają oni nad wysokością środków w sektorze pomocy publicznej dla najbardziej potrzebujących. Przypomnijmy sobie polską drogę do kapitalizmu: zaczęło się od tzw.

uwłaszczenia nomenklatury pod koniec lat 80. W ramach kontraktu, zawartego oficjalnie przy „okrągłym stole” w 1989 roku, komuniści zgodzili się na dobrowolną rezygnację z posiadanej władzy politycznej, w zamian za swobodę przejścia majątku państwowego drogą tzw. „spółek nomenklaturowych”. Odtąd stało się regułą w dziejach kapitalizmu polskiego, że wygrywali ci, którzy mieli tzw. „dojścia” do władzy politycznej. Największe fortuny zbudowano w oparciu (przynajmniej w początkowej fazie) o zamówienia publiczne i kontrakty rządowe (Jan Kulczyk, kontrakt na 3 tys. Volkswagenów dla policji i UOP w 1991 r., Ryszard Krauze, zamówienie na obsługę wyborów do parlamentu w 1991 r., komputeryzacja ZUS w 1997 r.). Ktoś mógłby powiedzieć, że nie ma podstaw by kwestionować to, że najlepsi wygrywali przetargi i otrzymywali intratne zamówienia. Nawet jeżeli tak było i jest, trudno oprzeć się wrażeniu, że o ile w krajach zachodnich największe fortuny powstają albo drogą wielopokoleniowej akumulacji kapitału, albo dzięki rewolucyjnym wynalazkom czy genialnemu zarządzaniu, o tyle polscy miliarderzy błyskawicznie zgromadzili ogromne kapitały w ciszy gabinetów, działając na styku sektora prywatnego i publicznego.

W pierwszych dekadach tworzenia polskiego kapitalizmu, ujawniono taką ilość rozmaitych afer, przestępstw gospodarczych, tzw. „przekrętów”, że trudno się dziwić przeciętnemu Polakowi, iż uważa obecny model gospodarczy za kapitalizm aferzystów i złodziei. Nad wszystkim zaś panuje swoisty determinizm: niezależnie od orientacji politycznej i głoszonego programu, partie dochodzące do władzy, zarówno z lewicy (SLD), jak i prawicy (AWS), realizują w praktyce ten sam model „neoliberalnego” kapitalizmu. Jest to model, który bardzo łatwo można poddać druzgocącej krytyce, pod warunkiem wszak, że powstają warunki do racjonalnej debaty. Zarzuty pod adresem kapitalizmu „neoliberalnego” sprowadzają się do trzech elementów. Po pierwsze jest to model sprzyjający interesom wielkiej finansjery, dziś już w zasadzie międzynarodowej. Po drugie, jest to kapitalizm funkcjonujący w warunkach patologicznego i hybrydalnego zespolenia sektora prywatnego z ogromną rolą państwa w gospodarce i dystrybucji środków publicznych. Po trzecie, jest to kapitalizm, który w znacznej mierze pozostaje jedynie teoretycznym założeniem, albowiem bałagan legislacyjny oraz zapaść wymiaru sprawiedliwości sprawiają, że prowadzenie działalności gospodarczej wymaga stałego „współdziałania” z biurokracją oraz instytucjami odpowiedzialnymi za przestrzeganie prawa. Praktyczne efekty nadmiaru uregulowań i przepisów sprawiają, że jedynie biurokracja posiada zaiste „tajemną wiedzę” o aktualnym stanie naszego prawa a także o możliwych kierunkach dokonywanych zmian. Z kolei wymiar sprawiedliwości nie potrafi zapanować nad patologiami gospodarczymi i nawet gdyby funkcjonował sprawnie i nie był przeżarty korupcją, nie byłby w stanie przeciąć tego „węzła gordyjskiego”, jakim jest nieprawdopodobna ilość przepisów, blokujących normalną działalność gospodarczą i stwarzających pole do popisu dla tych, którzy potrafią funkcjonować w niszach stwarzanych przez tzw. „luki prawne”.

Kończąc krótką charakterystykę i historię kapitalizmu w Polsce trzeba koniecznie odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego w Polsce zatriumfował „neoliberalny” model kapitalizmu. Jego wielbiciele z prawicy i lewicy z nutą wyższości odpowiadają, że jest to model „jedynie słuszny”. Tę odpowiedź już znamy, wiemy również, że jest ona przejawem quasi-religijnej wiary. Głoszenie krytyki „neoliberalizmu” z pozycji chrześcijańskiej nauki społecznej (AWS) lub socjaldemokratycznej (SLD) stanowiło, w oczach zwolenników „neoliberalizmu” jedynie przykry zabieg taktyczny, mający skanalizować głosy wyborców - rozgoryczonych i rozżalonych na polską rzeczywistość - w odpowiednim kierunku. Po kolejnych wyborach i objęciu władzy, zawsze następuje odwrót od wcześniej głoszonych haseł, bo są one „nierealne”. Powyższy sposób rozumowania i postępowania przynosi dwa negatywne skutki. W żaden sposób nie możemy przetestować, jak zadziałałby w praktyce inny model gospodarki kapitalistycznej. Natomiast wyborcy coraz częściej uświadamiają sobie, że są oszukiwani przez wszystkie liczące się w grze siły polityczne, co skutkuje

dalszym obniżaniem autorytetu państwa, coraz większą pasywnością społeczną i apatią, wynikającą z przeświadczenia, że „i tak nic się nie da zmienić”.

Model „neoliberalny” zatriumfował w Polsce z prostej przyczyny. Zaprojektowana przez komunistów zamiana władzy politycznej na władzę gospodarczą, wymagała stworzenia warunków umożliwiających dokonanie akumulacji kapitału w ręku określonej grupy osób. Przyjęty w latach 90. model modernizacji gospodarki poprzez prywatyzację państwowej gospodarki, dokonał się z celowym pominięciem najmniej mobilnego rolnictwa, znajdującego się – notabene - w przeważającej części w rękach prywatnych. Sektor prywatny tworzono od podstaw, co zgodne było i jest z quasi-religijną wiarą, której zasadą jest „ruszanie z posad bryły świata”, czyli niszczenie przeżytków starego świata i budowanie „nowego ładu”. Rolnictwo i rzemiosło zostały skazane na upadek, jako „nienowoczesne”. W praktyce najbardziej jednak liczyło się to, że modernizacja gospodarki poprzez rolnictwo nie stwarzała takich możliwości „prywatyzacyjnych” partyjnej nomenklaturze PZPR. Skuteczna „akumulacja” własności w ręku określonej grupy ludzi wymagała zaistnienia modelu, który z jednej strony sprzyjałby wielkiej finansjerze (bo we współpracy z nią można łatwo i szybko wzbogacić się), z drugiej generował bałagan prawny i programowo uniemożliwiał naprawę „zdeklasowanego” wymiaru sprawiedliwości. Kolejne, niewielkie liczebnie grupy ludzi, wywodzących się z dawnej opozycji antykomunistycznej, były systematycznie wchłaniane przez wytworzony układ wzajemnych powiązań na styku gospodarki i polityki, stwarzający komfortowe wręcz warunki dla tych wszystkich, którzy chcieli i zdążyli „załapać się”, czyli szybko wzbogacić się i wspiąć na szczyty drabiny społecznej. Przyczyna odwrotu polityków dawnej opozycji od wcześniejszej postawy służby Polsce jest prosta. Po 1989 roku pojawiły się pokusy materialne, zaś alternatywa w postaci perspektywy wieloletniej pracy nad rozmontowywaniem dzieła „okrągłego stołu”, mogła się okazać zbyt ciężarem dla ludzi zmęczonych już wieloletnią rolą ludzi „drugiej kategorii”. Jedyne część posłów z chrześcijańskiego nurtu AWS zachowywała w latach 1997-2001 upór w dążeniu do zapewnienia osłon socjalnych dla matek, najuboższych i najbardziej potrzebujących. Nic dziwnego, że w dominujących mass-mediach, to oni właśnie zostali obarczeni „odpowiedzialnością” za rozrzutność i nierównowagę budżetową. Płatne urlopy macierzyńskie okazały się w oczach obecnej elity większym złem, od całego chorego systemu gospodarczego. Opinia publiczna nie dała się jednak przekonać. Polacy w 2001 roku zdecydowanie odrzucili rządy prawicy, jako „neoliberalne” i zagłosowali na „socjaldemokratyczne” SLD. Obecnie dla nikogo chyba nie ulega wątpliwości, że z programu SLD niewiele ocalało, a rząd SLD okazał się jeszcze bardziej „neoliberalny” od rządu AWS. Ale czyż można było oczekiwać, że formacja polityczna wywodząca się z PZPR, będąca architektem i największym beneficjentem patologicznego systemu lat 90., przeprowadzi rozsądną naprawę gospodarki?

Program gospodarczy dla Polski powinien wyeliminować trzy wymienione wyżej, najważniejsze przyczyny niedomagań i patologii. Niestety, trzeba powiedzieć, że od lat w Polsce nie istnieje żadna licząca się formacja polityczna szczerze zainteresowana jego realizacją. W 2004 roku jedyną realną alternatywą dla rządów „neoliberalnej” SLD byłyby rządy z dominującym udziałem jeszcze bardziej „neoliberalnej” PO. Jednakże, nawet jeśli dzisiaj szanse odwrotu od „jedynie słusznego kierunku” wydają się niewielkie, pamiętać należy, że każdą zmianę, każdą reformę powinna poprzedzać debata, sformułowanie programu, trafne odczytanie przyczyn i skutków naszych działań. I ktoś musi podjąć się tej niewdzięcznej, żmudnej pracy u podstaw, bowiem dla przeobrażenia polskiego kapitalizmu nie jest wystarczające, jak w przypadku np. polityki zagranicznej, utworzenie rządu, w skład którego wejdą właściwi ludzie. Gospodarka jest zjawiskiem bardzo złożonym, jej funkcjonowanie jest zależne od czynników zewnętrznych, a także od kondycji, w jakiej znajduje się społeczeństwo. Zbyt często zapominamy, że gospodarki nie da się oddzielić od

moralności. Kapitalizm jako model gospodarczy sprawdza się w społeczeństwach, w których sprawnie funkcjonuje prawo, przeważają dobre obyczaje i nawyki, a skomplikowana sieć wzajemnych powiązań opiera się na zaufaniu, solidarności i wzajemnym zrozumieniu. Wolny rynek daje szansę rozwoju, ale daje również wolność rozmaitym mętom, szkodnikom, zwykłym cwaniakom i sprytnym kombinatorom. W społeczeństwie, w którym istnieje powszechne przyzwolenie dla drobnych nadużyć, powstają idealne warunki dla rozwoju patologii na wielką skalę. Na pewnym etapie dochodzi do powstania zorganizowanych grup przestępczych, rozmaitych struktur o charakterze mafijnym, wreszcie do ogarniania wpływami finansjery coraz szerszych obszarów życia politycznego. Trzeba mieć świadomość istnienia tych zagrożeń, trzeba zdawać sobie sprawę, że sformułowanie trafnego programu, a nawet pozyskanie dla tego programu większości społeczeństwa, może nie wystarczyć. Poparcie dla zmian musi koniecznie towarzyszyć masowe przebudzenie moralne, skutkujące powstaniem szerokiego ruchu naprawy Polski. Jedynie w takim otoczeniu, decyzje podejmowane przez rząd i parlament mogą przynieść zdecydowane zmiany na lepsze.

Jaki powinien być kapitalizm w Polsce? Przede wszystkim należy odejść od doktrynerstwa. Praktyka weryfikuje rozmaite teoretyczne założenia. Należy poszukiwać optymalnych rozwiązań, a nie ściśle trzymać się jakiegokolwiek bądź ortodoksji. Organizm gospodarczy jest niezwykle złożony, zbyt złożony, by można go było bezkarnie „unifikować”. Generalna zasada powinna być następująca: pozwólmy gospodarce oddychać samodzielnie, a ingerujmy jedynie w sytuacjach, kiedy powstają ogniska zapalne bądź mamy do czynienia ze stanami chorobowymi, patologiami, niewydolnością. Aktywność państwa powinna być dostosowana do tej powyższej zasady i nie powinna ona, jak obserwowaliśmy wielokrotnie, polegać na hojnym rozdawnictwie publicznych środków w sytuacji, kiedy dochodzi do groźby masowych protestów pracowniczych. Pisząc o aktywności państwa mam na myśli ingerowanie w sytuacjach, gdy wolny rynek nie potrafi sam z siebie rozwiązać problemu. Ograniczę się do podania jednego, bulwersującego przykładu: likwidacja państwowych gospodarstw rolnych (PGR) doprowadziła do powstania stref chronicznego bezrobocia i ubóstwa. Wolny rynek nie potrafił rozwiązać tego problemu. Państwo pozostawiło tych ludzi na pastwę losu. W ten sposób, w imię „neoliberalnego” doktrynerstwa skrzywdzono setki tysięcy ludzi, pozbawiając ich jakichkolwiek szans i jakiegokolwiek nadziei. Do dziś nikt nie upomniał się o tych ludzi i nikt nie wskazał, kto ponosi odpowiedzialność za oplakane skutki doktrynerstwa gospodarczego i politycznego.

Wskazałem powyżej na trzy największe słabości obecnego modelu „neoliberalnego”. Warto już dziś sformułować zarys alternatywnego modelu kapitalizmu. A więc po pierwsze, zamiast kapitalizmu podporządkowanego interesom wielkiego kapitału i międzynarodowych kół gospodarczych, Polsce potrzebny jest kapitalizm bardziej „polski”, czyli służący przede wszystkim rozwojowi rodzimej wytwórczości, przedsiębiorstwom krajowym, działającym przede wszystkim na terenie Polski. Nie muszą to być przedsiębiorstwa ze 100 % własnością polską, choć w praktyce zdecydowana większość z nich będzie znajdowała się pod kontrolą Polaków. Polsce – po latach pogardy dla „ciemnych” rolników i „niezaradnych” rzemieślników – potrzebny jest zdecydowany zwrot ku zasadzie: „małe jest piękne”. Małe i średnie przedsiębiorstwa powinny poczuć, że polski model kapitalizmu jest stworzony specjalnie z myślą o nich. Konserwatyści amerykańscy w pierwszej połowie XX wieku zdecydowanie podkreślali, że interesy wielkiego kapitału i zwolenników etatyzmu są ze sobą zbieżne. Przestrzegali przed powstaniem modelu kapitalizmu państwowego. W gruncie rzeczy taki model został w znacznym stopniu zrealizowany w większości krajów świata. Połączenie „wielkiego biznesu” z „wielkim państwem” wyraża się w gospodarce m. in. rozkwitem monopoli, a także skrępowaniem działalności gospodarczej gąszczem skomplikowanych przepisów, norm, nakazów, zakazów, uregulowań. Ten model kapitalizmu, niewiele przypomina model, jaki stworzył ojciec liberalizmu gospodarczego, Adam Smith.

Dlatego w odniesieniu do obecnego modelu kapitalizmu w Polsce, używam określenia „neoliberalizm”. Bo jest to liberalizm w takim stopniu zmodyfikowany, że coraz mniej przypomina pierwotne założenia. „Neoliberalizm” polski charakteryzuje się szczególnie silną pozycją wielkiego kapitału, a także wyjątkowo silną rolą, wręcz dominującą rolą sojuszu kapitału i biurokracji w życiu gospodarczym. Lekarstwem na to zagrożenie jest odejście od doktrynerstwa i podejmowanie prób poszukiwań optymalnego modelu gospodarczego. Krokiem we właściwym kierunku byłby powrót do koncepcji sformułowanych przez Wilhelma Röpke i Gilberta K. Chestertona. Dążenie do koncentracji kapitału i do tworzenia monopolu jest i będzie immanentną cechą kapitalizmu. Chodzi o to, by mając świadomość zagrożenia, przeciwstawić się mu, poprzez wspieranie małego i średniego biznesu, a także poprzez sprzyjanie upowszechnianiu własności. Odblaskiem tej tendencji była koncepcja „masowej i powszechnej prywatyzacji”, dawno porzucona i zapomniana. Uważam, że celowo uczyniono z niej parodię, aby skompromitować tę koncepcję w oczach opinii publicznej. Model kapitalizmu, za jakim się opowiadam, to model preferujący małe i średnie przedsiębiorstwa poprzez system podatkowy (progresywny), zapewnienie realnego dostępu do preferencyjnych kredytów, wprowadzenie uproszczonej księgowości i zdecydowane złagodzenie obostrzeń wobec małych podmiotów gospodarczych - wyraźne oddzielenie małych podmiotów od wielkich przedsiębiorstw. Te ostatnie, powinny wręcz przeciwnie, podlegać surowym kontrolom, obowiązkowo prowadzić szczegółową księgowość, podlegać rygorystycznym wymogom etc. Nie łudźmy się, że dzisiaj nie obowiązują podwójne standardy. Obowiązują, tyle że ulgi, zwolnienia i przywileje przysługują wielkim podmiotom. Małe podmioty muszą podporządkowywać się coraz dalej idącym regulacjom, wymogom, obowiązkom wobec „fiskusa” etc. Warto i trzeba zapoznawać się z rozwiązaniami, stosowanymi przez inne kraje europejskie, skutecznie chroniącymi interesy tamtejszych rodzimych przedsiębiorców. Należy zdecydowanie porzucić postawę prezentowaną m. in. przez Leszka Balcerowicza, pogardliwej wyższości wobec przeciętnych Polaków i bezkrytycznej akceptacji wymogów stawianych nam przez instytucje międzynarodowe. Trzeba dążyć w kierunku jak największego uniezależnienia się od międzynarodowej finansjery. Przydałoby się odrzucenie z mroków niepamięci narodowej myśli gospodarczej, która nie cofając akceptacji i uznania dla rynkowej i liberalnej gospodarki, jednocześnie mocno akcentowała potrzebę niezależności polskiej gospodarki i troski o zabezpieczenie naszych, polskich interesów (bracia Władysław i Stanisław Grabscy, Roman Rybarski).

Po drugie, musi nastąpić zdecydowane oddzielenie sfery działalności publicznej, politycznej od sfery działalności gospodarczej. Pomoc publiczna dla podmiotów prywatnych powinna zostać drastycznie ograniczona. Zwolennicy „neoliberalizmu” z PO dziwnym trafem zapominają o tym, ogromnym sektorze wydatków publicznych, koncentrując się na żądaniu ograniczenia wydatków na pomoc społeczną dla najbardziej potrzebujących, albo uchwalenia kolejnych ulg dla wielkich przedsiębiorstw. Na styku gospodarki prywatnej z sektorem finansów publicznych dochodziło i wciąż dochodzi do największych nadużyć i defraudacji. Z tej „szarej” strefy nieustannie wypływają ogromne pieniądze, których w budżecie brakuje na zaspokojenie elementarnych potrzeb, w tym na poprawę funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, który powinien skutecznie ścigać wszelkiego rodzaju patologie gospodarcze. Nie trzeba chyba dodawać, że w takich warunkach zasady wolnego rynku i konkurencji stają się fikcją, ponieważ część przedsiębiorców, posiadających odpowiednie „dojścia” funkcjonuje na rynku na preferencyjnych warunkach, skutecznie wypierając konkurencję nie posiadającą zmysłu „cwaniactwa” i „kombinatorstwa”. Wolny rynek i konkurencja nie mogą przecież funkcjonować na zasadzie, że wygrywa ten, kto jest lepszy w omijaniu przepisów, albo sprawniej nawiązuje kontakty biznesowe z...politykami lub prokuratorami! Zamiast tego rodzaju „konkurencji” o wiele korzystniejsza dla kondycji naszej gospodarki a także dla wszystkich Polaków, byłaby współpraca nawiązywana między rodzimymi przedsiębiorcami,

stosowanie zasady, że „swój wspiera swego”, poczucie, że prowadzenie działalności gospodarczej jest wspieraniem polskiego interesu narodowego, postawa gotowości do zawierania kompromisów między pracodawcami a pracownikami. Ale tych procesów nie można zadekretować. Mogą się one pojawić dopiero wraz z nadejściem odrodzenia moralnego, wybuchem spontanicznej eksplozji aktywności obywatelskiej i powstaniem masowego ruchu na rzecz naprawy Rzeczypospolitej.

Po trzecie, kapitalizm musi koniecznie zacząć funkcjonować w ramach sprawnie funkcjonującego wymiaru sprawiedliwości. Najpierw prawo musi ulec uproszczeniu i stabilizacji. Następnie musi nastąpić powszechne egzekwowanie tegoż prawa, natychmiastowe i konsekwentne karanie wszelkich przejawów patologii. Nie może być tak, że przedsiębiorca uczciwie prowadzący działalność gospodarczą, przegrywa konkurencję z podmiotami nagminnie łamiącymi przepisy i skutecznie unikającymi jakiegokolwiek odpowiedzialności karnej czy finansowej. Przywódcy PO zdają się uważać, że kapitalizm zacznie lepiej funkcjonować, kiedy zostanie wprowadzony powszechny podatek liniowy, a pracownicy utracą wszelkie prawa. W moim przekonaniu zarówno podatek progresywny, jak i ochrona prawna pracownika przed nadużyciami ze strony pracodawców, są niezbędnymi elementami równowagi w gospodarce. Kapitalizm, w którym najbogatsi mają komfortowe warunki, a pozostali znajdują się na ich łasce, jest przeciwieństwem modelu za którym się opowiadam. W moim przekonaniu, obecny model nie sprawdza się właśnie dlatego, że wielkie podmioty gospodarcze mają w Polsce zbyt dużo do powiedzenia, skutecznie oddziałując na decyzje podejmowane przez polityków. W efekcie pogłębia się przepaść między niewielką liczebnie grupą najbogatszych, a rosnącą masą quasi-proletariuszy. Nie pojawia się klasa średnia, bowiem w sytuacji tego swoistego skurczenia biegunów (z jednej strony garstka bogatych, z drugiej masa biednych), nie powstaje przestrzeń do rozwoju klasy średniej. Klasa średnia rozwija się w oparciu o sektor małych i średnich przedsiębiorstw, a także w wyniku wywalczenia przez związki zawodowe dobrych warunków socjalnych dla wykwalifikowanych pracowników w dużych przedsiębiorstwach. W Polsce dzieje się na odwrót: sektor małych i średnich przedsiębiorstw traci na znaczeniu, podobnie pogarsza się pozycja pracownika w dużym przedsiębiorstwie. Prawo, powtórzmy, musi zostać uproszczone i musi być egzekwowane. Musi zostać przywrócona, naruszona w ostatnich latach równowaga między pozycją pracownika i pracodawcy. Ten pierwszy musi mieć zagwarantowane prawa, stabilizację, opiekę socjalną. Ten drugi, powinien ponosić konsekwencje swoich czynów. Na przykład doprowadzenie do bankructwa przedsiębiorstwa i pozostawienie niespłaconych zobowiązań, powinno oznaczać dla przedsiębiorcy zakaz prowadzenia działalności gospodarczej przez pewien okres (na przykład 2 lata). Nie jest zdrowym objawem to, że w biznesie funkcjonują przedsiębiorcy, których działalność polega na doprowadzaniu kolejnych przedsięwzięć do bankructwa i pozostawianiu za sobą coraz liczniejszego grona wierzycieli.

Powyższe uwagi stanowią jedynie ogólny zarys alternatywnego programu gospodarczego. Moim celem było jedynie wykazanie, że w Polsce jest nie tylko możliwe, ale wręcz bardzo pożądane budowanie innego niż obecnie funkcjonujący model kapitalizmu. Konieczne jest odejście od doktrynerstwa, zapoczątkowanie szerokiej debaty, opartej na racjonalnych i rzeczowych argumentach. Polski kapitalizm powinien być kapitalizmem akceptowanym i sprzyjającym większości Polaków. Trzeba odwrócić cały nasz dotychczasowy tok myślenia. W zapale „modernizacyjnym” zapomnieliśmy o podstawowej prawdzie, że kapitalizm ma być dla Polaków, a nie na odwrót.

IV. Jaka Europa?

Pytanie o miejsce Polski w jednoczącej się Europie i o ewentualne zabezpieczenie naszych narodowych interesów, jest niczym innym jak pytaniem o kształt polskiej polityki zagranicznej. Po 1945 roku nie było możliwe uprawianie polityki polskiej, albowiem – nie z własnej woli – na mocy układu jałtańskiego, zostaliśmy włączeni do rosyjskiej strefy wpływów. Nie ze złośliwości, ale ze zwyczajnej potrzeby zrozumienia mechanizmów politycznych, warto pamiętać, że twórcami powojennego ładu, a ściślej mówiąc: podziału Europy, byli przywódcy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego. Włączenie Polski w skład imperium komunistycznego było nie tylko skutkiem opanowania ziem polskich przez Armię Czerwoną. Z perspektywy amerykańskiej i angielskiej, utworzenie rosyjskiej strefy wpływów rozciągającej się na całą Europę środkowo-wschodnią, było uznaniem wkładu Rosji w dzieło pokonania nazistowskich Niemiec, ale również pośrednim potwierdzeniem drugorzędного znaczenia tego obszaru z punktu widzenia geopolitycznych interesów dwóch mocarstw atlantyckich. Pierwszym politykiem, który otwarcie zakwestionował porządek jałtański był francuski prezydent Charles de Gaulle. Utworzenie Wspólnego Rynku (1958), historyczne pojednanie francusko-niemieckie, stworzyły podstawy do sformułowania przez de Gaulle'a śmiałej wizji wielkiej i silnej Europy, nie ograniczającej się do Łaby, lecz sięgającej po Ural. Paradoksalnie, wizja ta stała się realna dopiero po 1989 roku, dzięki zdecydowanej polityce Stanów Zjednoczonych, która doprowadziła do przezwyciężenia podziału jałtańskiego w wyniku m. in. dekompozycji imperium sowieckiego oraz „wyjścia” z komunizmu krajów Europy środkowo-wschodniej. Nie wolno jednak zapominać, iż antykomunistyczna polityka Stanów Zjednoczonych lat 80., w wyniku której Polska odzyskała niepodległość, była obliczona w pierwszym rządzie na rozbięcie imperium sowieckiego. W Polsce pokutuje złudzenie, że polityka amerykańska była antykomunistyczna i antyrosyjska z tego względu, że komunizm, czy też Rosja „gnębiły” ujarzmione narody europejskie. Gdyby tak było w rzeczywistości, Stany Zjednoczone nie byłyby współautorem Jałty, a obecna polityka amerykańska nie zachowywałaby milczenia wobec krzywd, jakie Rosja wyrządza Czeczenii, a Chiny Tybetowi. Polityka jest grą interesów i nie zawsze idzie w parze z moralnością. Obraz czarno-biały jest obrazem złudnym, bo w rzeczywistości na scenie politycznej toczy się gra pomiędzy interesami poszczególnych państw. W sytuacji, kiedy jedno z państw jest rządzone demokratycznie i reprezentuje wysoki poziom cywilizacyjny, a drugie jest państwem totalitarnym, w którym dokonuje się destrukcji fundamentów cywilizowanego ładu, można zaryzykować twierdzenie, że to pierwsze państwo ma prawo by odwoływać się do słuszności moralnej. Ale tego typu sytuacje nie są normą w polityce. Św. Tomasz z Akwinu przed wiekami określił warunki, jakie muszą być spełnione, by można było mówić o „wojnie sprawiedliwej”. Współczesny świat wypracował wiele mechanizmów służących wypracowywaniu *modus vivendi* między sprzecznymi interesami poszczególnych państw. Oczywiście nie są to mechanizmy doskonałe, ale właściwą drogą jest albo usprawnianie ich funkcjonowania albo zastępowanie ich innymi, sprawniejszymi mechanizmami.

Polska polityka zagraniczna stała się możliwa dopiero po 1989 roku. Nie rozstrzygam w tej chwili kwestii, na ile rządcy wcześniej Polską komuniści mieli możliwość uprawiania polityki niezależnej od Moskwy. Nawet jeśli mieli taką możliwość, to i tak jej nie wykorzystywali. Rozpad systemu jałtańskiego w wyniku załamania się imperium sowieckiego, wytworzył w Polsce warunki do uprawiania polityki w pełni służącej naszej racji stanu. W interesie Polski – tak myślała na początku lat 90. ub. wieku przeważająca większość samych Polaków, jak również większość antykomunistycznej opozycji demokratycznej – było związanie Polski z Zachodem i zapewnienie naszemu niepodległemu krajowi bezpieczeństwa. Nie wszyscy politycy i nie wszystkie partie polityczne podzielały

wówczas ten pogląd. Ale zostawmy te sprawy dziennikarzom, albo przyszłym historykom, bo dla naszych rozważań nie jest istotne, kto sprzeciwiał się NATO albo kto głosił koncepcje „NATO-bis”. Najważniejsze jest ściśle i trafne sformułowanie celów przyświecających prawdziwie polskiej polityce zagranicznej. W moim najgłębszym przekonaniu były one następujące: po pierwsze, związanie Polski z Zachodem, po drugie zaś, wzmocnienie naszej niepodległości systemem bezpieczeństwa. Ten pierwszy cel Polska osiągała stopniowo, przywracając ustrój demokratyczny i zawierając układ o stowarzyszeniu z Unią Europejską, reformując gospodarkę, wprowadzając do naszego życia zachodnie standardy. Realizacja pierwszego celu służyła również w sposób oczywisty realizacji drugiego celu. Przystąpienie Polski do NATO (1999) oznaczało nie tylko wzmocnienie naszych więzi z Zachodem, ale również objęcie Polski kolejnym systemem zbiorowego bezpieczeństwa i wzajemnych gwarancji. Przystąpienie Polski do Unii Europejskiej (2004) oznacza nie tylko ściśle związanie naszego życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego z życiem krajów Europy zachodniej, ale również wzmocnienie naszego bezpieczeństwa. Im bardziej polska gospodarka zintegruje się z gospodarką europejską, tym trudniej będzie w przyszłości oderwać Polskę od europejskiego organizmu. Ponadto, na naszych oczach Unia Europejska tworzy kolejny system bezpieczeństwa: europejskie siły szybkiego reagowania, do udziału w którym zostaliśmy zaproszeni. W interesie polskiej polityki leży również wzmocnienie autorytetu i poprawa sprawności funkcjonowania ONZ.

Powyższy obraz uległ jednak w ostatnich latach znacznemu zamazaniu. Po słynnym ataku terrorystycznym na Stany Zjednoczone w 2001 roku, polityka tego kraju uległa znaczącej zmianie. Kraj ten, a ściślej mówiąc: mocarstwo, rozpoczęło – pod pretekstem walki z terroryzmem – nie mającą precedensu w przeszłości Stanów Zjednoczonych, politykę narzucania siłą innym krajom własnych koncepcji. Ta nowa polityka amerykańska, *pax americana*, wzbudziła najwięcej kontrowersji w przypadku wojny w Iraku (2003). Stany Zjednoczone podjęły tę wojnę wyraźnie lekceważąc istniejące systemy zbiorowego bezpieczeństwa w postaci ONZ czy NATO, łamiąc fundamenty prawa międzynarodowego. (Precedens znamienity, bowiem może otworzyć drogę do naśladownictwa). Uzasadnienie dla podjęcia tak drastycznych kroków (zagrożenie bronią masowej zagłady) okazało się nieprawdziwe. Z całą pewnością, wojna Stanów Zjednoczonych przeciw Irakowi nie była – w świetle św. Tomasza z Akwinu – wojną sprawiedliwą. Przeciwno wojnie w Iraku zaprotestowała nie tylko Rosja, co nie było niczym nowym, ale również Francja i Niemcy, co wytworzyło bezprecedensową sytuację pęknięcia w tzw. świecie Zachodu.

Wobec nowej sytuacji, polska polityka zagraniczna musiała zareagować w sposób elastyczny, ale przede wszystkim zgodny z polską racją stanu. Bez wątpienia w interesie polskim nie leży podsycanie antagonizmów wewnętrznych pomiędzy krajami Zachodu, ale Polska nie była przecież władna wpływać na postawę rządu Stanów Zjednoczonych czy też Unii Europejskiej, do której jeszcze nie przystąpiła. Będąc krajem średniej wielkości, należało zachować proporcje i zadbać o to, by konflikt pomiędzy krajami zachodnimi nie wpłynął na proces integracji Polski z Europą ani na osłabienie systemu bezpieczeństwa gwarantującego naszą niepodległość.

Niestety, polska polityka zagraniczna lewicowego rządu, popierana – co jest bardzo istotne – przez zdecydowaną większość opozycji prawicowej, poszła w bardzo niebezpiecznym kierunku: bezkrytycznego, wręcz wiernopoddańczego podporządkowania się wytycznym polityki amerykańskiej. Polska nie tylko zdecydowanie poparła politykę, która w sposób pośredni podważa fundamenty naszego bezpieczeństwa (ONZ, NATO), ale również zaryzykowała ochłodzenie w stosunkach z Niemcami i Francją w kulminacyjnym momencie naszych starań o integrację z Unią Europejską. Jak na razie bilans tych działań politycznych jest wyraźnie niekorzystny dla Polski, choć trudno tu mówić o dramacie. Zakupiliśmy amerykańskie samoloty, ale nie uzyskaliśmy rekompensaty w postaci realizacji umów

offsetowych. Wzięliśmy udział w wojnie, a następnie okupacji Iraku, ponosząc z tego tytułu znaczne koszty finansowe (na szczęście nie było wielu ofiar w ludziach), nie uzyskując w zamian żadnej rekompensaty. W Unii Europejskiej stworzyliśmy sobie na własne życzenie bardzo wpływowych przeciwników i raczej niepewnych i słabych sojuszników. Coraz częściej pojawiają się zapowiedzi wewnętrznego podziału Europy na tzw. „twarde jądro” i resztę, w tym Polskę. W sytuacji kiedy osłabieniu uległy takie filary naszego bezpieczeństwa jak NATO czy ONZ i niewiele brakowało, a odmówilibyśmy udziału w tworzeniu europejskich sił szybkiego reagowania, triumfalne ogłaszanie „sukcesów” naszej dyplomacji zakrawa o groteskę. O prawdziwości zapewnień, że „wzrosła międzynarodowa pozycja Polski” najlepiej świadczy fakt traktowania Polaków na granicy polsko-amerykańskiej. Jeżeli tak lekceważąco traktuje nas mocarstwo, dla którego Polska zaryzykowała konflikt z Niemcami i Francją, to trudno oprzeć się wrażeniu, że ten rzekomy „respekt” dla Polski wynika wyłącznie z faktu, że za naszymi plecami znajduje się potęga wzbudzająca rzeczywisty respekt i szacunek. Symbolicznym, a raczej skandalicznym przykładem tego, jak głęboko Polska zaangażowała się po stronie Stanów Zjednoczonych w obecnym konflikcie, stał się głośny donos na Francję, jaki złożyły nasze czynniki decyzyjne, w związku z odkryciem przez polskich żołnierzy w Iraku rzekomych pocisków, produkowanych przez Francję i potajemnie dostarczanych dyktatorowi Husseinowi. Pozostaje mieć nadzieję, że z czasem coraz lepiej widoczne, ewidentne fiasko polskiej polityki zagranicznej, wpłynie na zmianę jej kursu, choć faktów nie uda się szybko ani zmienić, ani tym bardziej przekreślić.

Chciałbym z naciskiem podkreślić, że jestem przeciwnikiem jakiegokolwiek polityki „antyamerykańskiej”. Polacy mają wiele powodów do tego, by lubić Amerykę i Amerykanów. Nie możemy mieć pretensji o to, że w 1945 roku nie chcieli umierać za Polskę, choć wcześniej umierali za Francję czy Wielką Brytanię. Nie możemy łudzić się, że zdołamy w jakikolwiek sposób wpłynąć na kierunek polityki amerykańskiej. Obecnie możemy czuć się bezpiecznie pod amerykańskim parasolem, ale nawet najwierniejszą służbą nie zmienimy amerykańskiej optyki, w świetle której dla interesów Stanów Zjednoczonych Europa Zachodnia, Bliski i Środkowy Wschód, Daleki Wschód mają o wiele większe znaczenie aniżeli Europa środkowo-wschodnia. Wygląda na to, że ulegając naciskom naszych amerykańskich sojuszników, dokonujemy modyfikacji polityki obronnej w kierunku tworzenia nielicznej armii, w której realną wartość posiada nieliczna, doskonale wyposażona i wyszkolona grupa, przeznaczona do działań ekspedycyjnych o charakterze policyjnym, kosztem – co oczywiste – zmniejszenia zdolności do przeciwstawienia się klasycznej inwazji lądowej. Z punktu widzenia Ameryki korzystne jest, by jej sojusznicy posiadali mobilne oddziały posiłkowe, ale z naszej własnej perspektywy, kluczową sprawą powinno być zabezpieczenie własnego terytorium przed inwazją lądową. Dość zajrzeć do ogłoszonej niedawno „doktryny obronnej” Polski, by przekonać się, czyj punkt widzenia i w jakiej proporcji uwzględnia ten dokument. Pisząc o wymogu „elastyczności” polskiej polityki oraz jej podporządkowaniu polskiej racji stanu, miałem na myśli takie wypośrodkowanie polskiej polityki, aby wobec konfliktu wewnątrz-zachodniego zachować jak najdalej idącą neutralność. Nie chodzi o występowanie przeciwko Ameryce, przeciwko polityce amerykańskiej wobec Iraku czy innych krajów. Chodzi o to, że mogliśmy nie wysłać żołnierzy do Iraku i nie podpisywać żadnych listów, za czy przeciw. Chodzi o to, że mogliśmy zakupić samoloty od Europejczyków, podobnie jak to uczynili nasi sąsiedzi w Europie środkowo-wschodniej. Chodzi o to, że mogliśmy – i tu przystępujemy do istotnej części rozważań o Europie – spełniać rolę spoiwa, a nie rozsadnika Unii Europejskiej.

O ile dla Stanów Zjednoczonych Polska będzie zawsze miała znaczenie drugorzędne, co wynika z niezmiennych przesłanek geopolitycznych, o tyle dla budującej się i cementującej Europy, Polska stanowi niezbędny element, o kapitalnym wręcz znaczeniu. Wizja de Gaulle’a wielkiej i silnej Europy, nie może być zrealizowana bez krajów Europy

środkowo-wschodniej. Europa nie mogła zyskać pełnej podmiotowości w warunkach podziału jałtańskiego i zagrożenia ze strony imperium sowieckiego. O ile w latach tzw. „zimnej wojny” Stany Zjednoczone popierały konsolidację wewnętrzną Europy zachodniej, w tym również tworzenie Wspólnoty Europejskiej, o tyle po rozpadzie imperium sowieckiego zaczęły postrzegać Europę jako potencjalnego, coraz bardziej samodzielnego konkurenta. Taka postawa nasiliła się w okresie prezydentury Busha i pozostaje mieć nadzieję, że szybko ulegnie zmianie wraz z odejściem z Białego Domu tego marnego polityka i odsunięciem od wpływów jego doradców, tzw. neokonserwatystów. Wielka i silna Europa nie może bowiem w dalszej perspektywie zagrozić racjonalnie pojętym interesom amerykańskim. Jedyńm państwem, któremu taka Europa rzeczywiście może zagrozić, jest...Rosja. Rosja, która wcześniej czy później powróci na ścieżkę dążeń imperialnych i dobrze by było (dla Polski, rzecz jasna), gdyby na swej drodze napotkała na wielki, zintegrowany, sprawnie funkcjonujący związek suwerennych państw europejskich, złączonych solidarnością i głęboko ugruntowanymi interesami.

Czy Polska w Europie ma podstawy do obaw przed dominacją niemiecką, czy też francusko-niemiecką? Argument o groźbie „niemieckiej Europy” był wysuwany już w przeszłości, m. in. w debacie na temat poszerzenia Wspólnoty Europejskiej o Wielką Brytanię czy kraje Europy południowej. Dominacja niemiecka miała grozić w przypadku nie poszerzenia Wspólnoty. Obecnie Unia Europejska uległa znaczącemu poszerzeniu o kraje Europy środkowo-wschodniej. Samodzielne Niemcy nie mają najmniejszych szans na uzyskanie dominacji. Sojusz francusko-niemiecki również nie posiada wystarczającej siły. Natomiast taką dominację mogą osiągnąć Niemcy i Francja w połączeniu np. z Wielką Brytanią. Jeszcze niedawno istniało wiele przesłanek wskazujących na realność powstania „triumwiratu” Francji, Niemiec i ...Polski. W 1991 roku z inicjatywy Francji i Niemiec powstał tzw. Trójkąt Weimarski. Polska została zaproszona do partnerstwa, nie do wiernopoddańczej służby na rzecz wielkiego mocarstwa. Polska posiada dla Niemiec pierwszorzędne znaczenie. Nie trzeba chyba wyjaśniać, dlaczego w interesie Niemiec leży zacieśnianie więzów z Polską, wygaszanie historycznych animozji, przyjacielskie stosunki z bezpośrednim sąsiadem. Dla Francji Polska stanowi element równowagi, przeciwwagę wobec silniejszego partnera niemieckiego. Niestety, idea przyświecająca twórcom Trójkąta Weimarskiego nie została rozwinięta, a polska dyplomacja po 2001 roku z całą pewnością nie przyczyniła się do twórczego rozwoju koncepcji ścisłej współpracy polsko-niemiecko-francuskiej. Po upływie dwunastu lat, zamiast zacieśnienia więzów, realna stała się groźba utworzenia ścisłego jądra europejskiego, kończącego się na Odrze i Nysie Łużyckiej. Taki rozwój sytuacji może w przyszłości bardzo niekorzystnie wpłynąć na nasze bezpieczeństwo a nawet zagrozić naszej niepodległości.

Polska dyplomacja w ostatnich miesiącach wykonała cały szereg gestów i posunięć, których wydźwięk jest sprzeczny z dążeniem do partnerskiej współpracy z Niemcami i Francją. Ostrze dyplomacji Warszawy zostało skierowane przeciwko Berlinowi, dążącemu do uzyskania większego wpływu w Unii Europejskiej oraz Paryżowi, dążącemu do większego uniezależnienia od polityki amerykańskiej. Polska sprzeciwiła się przyjęciu konstytucji europejskiej bynajmniej nie z chęci obrony idei „Europy ojczyzn”, lecz ze względu na przyznanie Niemcom większej ilości głosów w porównaniu do ustaleń traktatu nicejskiego. Nawet przy najlepszej chęci nie można takiej postawy wpisać w scenariusz pojednania niemiecko-polskiego, które – gdyby nastąpiło – przyniosłoby skutki porównywalne do pojednania francusko-niemieckiego, jakie dokonało się kilkadziesiąt lat wcześniej. Kwestionowanie dziejowej konieczności takiego pełnego i trwałego pojednania uważam za skrajnie szkodliwe dla polskiej racji stanu. Z punktu widzenia polskiego interesu zaspokojone zostały nasze interesy: Niemcy definitywnie uznały polską granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej i oczywiście jedynie na takim fundamencie jest możliwe i pożądane polsko-

niemieckie pojednanie. Ale pojednanie nie będzie możliwe, jeżeli jeden z partnerów sprzeciwia się aby drugi partner posiadał liczbę głosów odpowiadającą jego potencjałowi ludnościowemu. I śmieszne jest jednocześnie oczekiwanie, aby Niemcy szczerą ręką finansowały europejskie programy pomocowe.

Powtórzę i podkreślę jeszcze raz: istotą obecnego sporu, wywołanego przez naszą dyplomację, nie jest opowiedzenie się Polski za ideą „Europą ojczyzn” czy Europy chrześcijańskiej. Nasi politycy zaryzykowali konflikt i kryzys w Unii Europejskiej, ponieważ sprzeciwili się dążeniu Francji do uczynienia z Unii sprawnego organizmu decyzyjnego (czyli praktycznie mówiąc uniezależnieniu Europy od polityki amerykańskiej) oraz dążeniu Niemiec do uzyskania wpływu, odpowiadającego potencjałowi ludnościowemu tego kraju. Natomiast polska dyplomacja, szermując argumentem obrony „interesu narodowego”, opowiedziała się za paraliżem decyzyjnym Unii (co jest zgodne z obecną polityką amerykańską, ale również z długofalowym interesem rosyjskim) oraz ograniczeniem pozycji Niemiec (co bardzo źle wróży przyszłości polsko-niemieckiego pojednania). Taka polityka nie spotkała się z krytyką opozycji prawicowej. Wręcz przeciwnie, przywódca PiS Jarosław Kaczyński, w wystąpieniu sejmowym w czasie debaty nad polską polityką zagraniczną (21 stycznia 2004) jednoznacznie i bez żadnych wątpliwości nie tylko poparł politykę zagraniczną lewicowego rządu, ale wręcz podziękował osobiście premierowi Leszkowi Millerowi i ministrowi Włodzimierzowi Cimoszewiczowi za „twardą obronę interesu narodowego”.

Reasumując, obecna elita „okrągłostołowa”, zachowuje godną lepszej sprawy jednomyślność w kwestii kształtu polskiej polityki zagranicznej. Zarówno lewicowy rząd, jak i prawicowa opozycja, opowiadają się za bezdyskusyjnym popieraniem wszelkich działań politycznych rządu Stanów Zjednoczonych, nie dostrzegając żadnych sprzeczności czy też rozbieżności między interesami polityki amerykańskiej i polskiej. Z drugiej strony te same elity polityczne bronią „polskiego interesu narodowego” wobec prób konsolidacji polityki europejskiej, sprzeciwiając się uczynieniu z Europy sprawnego organizmu decyzyjnego (początkowo sprzeciwiając się nawet koncepcji utworzenia europejskich sił szybkiego reagowania!), a także nawracając, wbrew faktom i logice, do kursu antyniemieckiego. Analogie do polityki antyniemieckiej obozu narodowego Romana Dmowskiego nie wytrzymują próby krytyki. Dmowski był antyniemiecki, ale szukał sojusznika w Rosji, Francji i Wielkiej Brytanii. Dmowski był antyniemiecki w sytuacji, kiedy żywioł niemiecki odpychał nas od dostępu do morza, od Śląska, Pomorza, Wielkopolski. Dzisiejsza polityka antyniemiecka jest jednocześnie (wobec dokonanego pojednania francusko-niemieckiego) polityką antyfrancuską. Z pewnością służy interesowi rosyjskiemu, czy o to chodzi naszym politykom prawicowym? Dzisiejsza Polska poszukuje sojusznika w Stanach Zjednoczonych, ale co to ma wspólnego z dawnymi koncepcjami Dmowskiego? Na marginesie warto dodać, że najwybitniejszy uczeń Dmowskiego, Zygmunt Berezowski, w latach 50. i 60. zdecydowanie opowiadał się za polityką de Gaulle’a budowy wielkiej Europy. Antygermanizm w dzisiejszych czasach, gdy granica polsko-niemiecka przebiega na Odrze i Nysie, a Niemcy są potencjalnym źródłem tak potrzebnych Polsce subwencji i inwestycji, nie znajduje zatem racjonalnych podstaw.

Polsce potrzebna jest polityka zmierzająca do integracji z Zachodem, a więc przede wszystkim z Europą. Niezmiennym priorytetem dla prawdziwych obrońców naszych interesów narodowych powinno być budowanie systemu bezpieczeństwa gwarantującego nam zachowanie niepodległości. Obok NATO, ONZ, Unii Europejskiej powinny pojawiać się nowe zabezpieczenia. Prawdziwym wyzwaniem dla Polski byłoby współtworzenie wielkiej Europy, sprawnie zarządzanej, zdolnej do szybkiego reagowania w obliczu potencjalnych zagrożeń. Gdyby udało się utworzyć w Europie twarde jądro decyzyjne w postaci sojuszu Polski z Niemcami i Francją, wówczas można by mówić o prawdziwym, a nie iluzorycznym

zwycięstwie naszej dyplomacji, o realizacji naszych narodowych aspiracji do spełniania podmiotowej, a nie przedmiotowej roli w polityce.

V. Zakończenie

Czytelnik ma prawo oczekiwać podsumowania tych dość obszernych, choć mimo wszystko bardzo ogólnych refleksji. Wskazywałem na liczne przyczyny obecnej zapaści państwa, degeneracji dominującej klasy politycznej, apatii i zniechęcenia społecznego. Wskazywałem, co należy zmienić, aby Polska stała się państwem bardziej „polskim”, podkreślając jednak, że ani gospodarki ani instytucji publicznych nie uda się naprawić bez wsparcia ze strony masowego ruchu odnowicielskiego. Tutaj potrzebne są wielorakie inicjatywy. Demokracja i kapitalizm potrzebują oparcia w wartościach, nade wszystko w wartościach zawartych w chrześcijaństwie. Celowo użyłem słowa „chrześcijaństwo” zamiast „Kościół”, bo mam świadomość, że instytucjonalny Kościół także potrzebuje wsparcia i pomocy ze strony oddolnych ruchów odnowicielskich. Wypowiem wprost swoje marzenie: chciałbym aby pojawił się w Polsce ruch na miarę „Solidarności” lat 1980-1981, który dokona przewrotu moralnego i umysłowego, zastępując obecną elitę „okrągłostołową”, ludzi takich jak np. Jerzy Urban i Adam Michnik, Aleksander Kwaśniewski i Donald Tusk, nowymi, świeżymi osobowościami, dla których praca i działalność publiczna będzie trudnym brzemieniem i służbą, mozolnym budowaniem w oparciu o tradycję i wartości. Tamta „Solidarność” nie miała szansy na twórcze i konstruktywne przetworzenie nadziei, entuzjazmu i energii milionów Polaków. Możliwe, że sami Polacy nie byli wówczas dostatecznie przygotowani do podjęcia systematycznej i pozytywnej pracy dla Polski. Na pewno zawiedli przywódcy, którzy wypłynęli na fali wielkiego odrodzenia. To też powinno służyć jako *memento* wszystkim tym, którzy dziś głoszą potrzebę dokonania zmian personalnych – każda zmiana, nawet ta dokonana w najlepszych intencjach, może się okazać zmianą na gorsze. Ale ryzyko trzeba podjąć, bo dziś Polsce jest pilnie potrzebny ruch głoszący solidaryzm narodowy i przemieniający ludzi ze „zjadaczy chleba” w świadomych swych praw i obowiązków obywateli. Nie ma innej drogi, nie ma innego wyjścia. W okresie niezwykle sprzyjającej nam koniunktury międzynarodowej, mamy niepowtarzalną szansę zbudowania Polski o wiele lepszej od tej, jaką dziś mamy, jaką zbudowali politycy „okrągłostołowi”. Mamy szansę, ale pod warunkiem zjednoczenia sił, wzniesienia się ponad horyzont egoistycznych interesów i interesików, zachowania umiaru i rozsądku - „rozumnego szaleństwa”...

Przed nami perspektywa przystąpienia do strefy euro. Już dziś trzeba podjąć wyzwanie, bo za chwilę może być za późno. O ile nie mieli racji ci, którzy argumentowali przed referendum, że przystąpienie do Unii Europejskiej oznacza kres naszej suwerenności, o tyle podjęcie decyzji o przystąpieniu do strefy euro rzeczywiście będzie oznaczało rezygnację z naszej suwerenności gospodarczej. Dla ludzi ze szkoły Balcerowicza – a ci stanowią większość w mediach, na szczytach władzy i gospodarki - nie ma żadnego problemu. Czy potrafimy, stojąc w obliczu takiej perspektywy, zdobyć się na zerwanie z „jedynie słusznym” kierunkiem naszej polityki? W moim głębokim przekonaniu polski interes narodowy nakazuje sprzeciwiać się koncepcji przystąpienia do strefy euro. Ale gdyby spełniło się marzenie o wielkim przeznaczeniu Polski, stającej się pełnoprawnym partnerem Francji i Niemiec, to może wówczas opłaciłoby się ponieść koszty wyrzeczenia się własnej waluty, zyskując w zamian realny i znaczący wpływ na kształt przyszłej Europy? Czy znajdą się w Polsce ludzie zdolni do podjęcia tej arcytrudnej i arcyważnej dla naszej przyszłości gry?

Gdańsk, 15 lutego 2004 r.

Appendix

Drogi i bezdroża „Solidarności”

„Solidarność” była (jest) bez wątpienia ruchem wielkim i znaczącym w historii nie tylko Polski. „Solidarność” wywarła ogromny wpływ na przyspieszenie procesu erozji komunizmu i przewyciężenie pojałtańskiego podziału Europy. „Solidarność” była emanacją narodowych oczekiwań i aspiracji, tłumionych przez gorset absurdałnej rzeczywistości ideologiczno-biurokratycznej. „Solidarność” odniosła w 1989 roku wielkie zwycięstwo, osiągając cele, wyznaczone na samym początku przez strajkujących w sierpniu 1980 roku: zawarła kompromis z władzą, otwierając drogę do niepodległości, demokracji, poszanowania praw ludzkich i narodowych, odbudowy podstaw normalnej gospodarki. „Solidarność” nie potrafiła jednak – jak mówią Francuzi – *dominer sa victoire* (zdominować swoje zwycięstwo) i w miarę upływu czasu w coraz mniejszym stopniu przypomina swój pierwowzór. „Solidarność” – wraz ze swoim pokoleniem działaczy oraz partiami wywodzącymi się z tzw. „tradycji Polski posierpniowej” - zdaje się odchodzić w przeszłość jako zjawisko czasu przeszłego dokonanego, nie przystające swoim charakterem, założeniami ideowymi, programem, zachowaniami, do wyzwań z którymi musi zmierzyć się Polska, takimi jak perspektywa wstąpienia do Unii Europejskiej, globalizacja, kryzys gospodarczy, kryzys tradycyjnych wartości i struktur społecznych.

Na wstępie należy dookreślić czy los „Solidarności” został już przesądzony. Oczywiście że nie, albowiem w polityce możliwe są zarówno wzloty jak i upadki, czego zresztą doświadczył ruch „Solidarności”, zepchnięty do głębokiej defensywy po wprowadzeniu przez Wojciecha Jaruzelskiego stanu wojennego w 1981 roku. Przykład formacji wywodzącej się z PZPR pokazuje, że możliwe jest odbicie się nawet w sytuacji zdawałoby się beznadziejnej – na początku lat 90. postkomuniści dysponowali zaledwie 10 procentowym poparciem społecznym i niewiele przesłanek wskazywało na to, że po upływie dekady osiągną pozycję porównywalną z pozycją superpartii w Meksyku (PIR) czy Indiach (Partia Kongresowa). Jednakże warunkiem *sine qua non* powstrzymania procesu dalszej dekompozycji jest podjęcie chłodnej refleksji nad tym, co się stało i dlaczego się stało, a także co można zrobić w przyszłości i jak uniknąć powtórzenia popełnionych błędów. Problem dzisiejszej „Solidarności” (rozumiem pod tym pojęciem nie tylko związek zawodowy, ale również partie polityczne odwołujące się do powinowactwa z szeroko pojętym ruchem „Solidarności”) polega na tym, że zbyt długo zwleka z podjęciem wewnętrznej samokrytyki, że zachowuje się zgodnie z syndromem tzw. „obleżonej twierdzy”, traktując każdą próbę życzliwej krytyki jako wrogi atak. Są to zachowania nie uzasadnione stanem wyższej konieczności (np. bezpośrednim zagrożeniem bytu narodowego albo stanem wojny) i przez to prowadzące do wyjąłowania umysłowego i skostnienia ruchu, niezdolnego do reagowania na zmieniającą się rzeczywistość.

Niniejszy tekst stanowi próbę analizy najistotniejszych – w moim przekonaniu – zafałszowań, jakim ulegał ruch „Solidarności”, zafałszowań, które nawarstwiając się powodują pograżanie się w fałszywej autoświadomości. Truizmem jest obowiązująca w polityce zasada, iż fałszywa świadomość prowadzi do fałszywych zachowań i w konsekwencji kończy się klęską nawet najszlachetniejszych i najbardziej słuszych (pod każdym względem) zamierzeń.

I

Już w czasie narodzin „Solidarności”, w sierpniu 1980 roku doszło do istotnego zafałszowania świadomości strajkujących – twórców i późniejszych liderów wielomilionowego ruchu społecznego. Najistotniejszy postulat strajkujących: rejestracja niezależnego od władzy komunistycznej związku zawodowego, został wysunięty i był z determinacją broniący przez strajkujących robotników. Na tle walki o realizację tego postulatu, przesądzającej *de facto* o losach strajku i obliczu przyszłej „Solidarności”, doszło do zderzenia dwóch tradycji: rodzimej tradycji ruchu robotniczego sprzeciwu wobec władz, wołania o respektowanie praw pracowniczych i szerzej narodowych, z dążeniami środowisk lewicowej inteligencji (laickiej i katolickiej), które od marca 1968 roku znajdowały się w głębokiej opozycji do rządzącego Polską aparatu komunistycznego. Reprezentanci tych środowisk, skupionych organizacyjnie w Komitecie Obrony Robotników (KSS „KOR”), nie tylko nie popierali, ale nawet próbowali przeciwstawiać się zdeterminowanej obronie przez robotników postulatu wolnych związków zawodowych. Od samego początku najbliżsi doradcy Lecha Wałęsy (Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek) odsuwali od udziału w negocjacjach osoby reprezentujące nielewicową optykę polityczną (np. nie dopuszczony został Władysław Siła-Nowicki, zaś na uboczu pozostawali Wiesław Chrzanowski i Jan Olszewski). W praktyce oznaczało to, iż w masowym ruchu narodowego protestu, jakim była „Solidarność”, pozbawionym – z oczywistych względów - naturalnych elit, wiodącą pozycję uzyskała elita liberalno-lewicowa. Symbolicznym przejawem tego zafałszowania autoświadomości działaczy związkowych była podjęta rok później, na I zjeździe „Solidarności” uchwała wyrażająca wdzięczność działaczom KSS „KOR” za ich walkę w obronie interesów robotniczych i narodowych. Konkurencyjna uchwała, dziękująca za to samo Kościołowi i wszystkim środowiskom opozycji demokratycznej, nie została w ogóle poddana pod głosowanie.

Z perspektywy upływu 22 lat, mało znane kulisy strajku sierpniowego mogą się wydawać nieistotne. Jednakże to, co miało miejsce w Stoczni Gdańskiej, w decydującym stopniu przesądziło o obliczu i przyszłości „Solidarności”. Robotnicy okazali się mądrzejsi od swoich doradców, dla których „Solidarność” była jedynie jednym z instrumentów walki z władzą. A mimo to, aktyw robotniczy z Lechem Wałęsą na czele, powierzył lewicowo-liberalnym elitom dalsze losy „Solidarności”. Odtąd, na wiele lat głos Mazowieckiego czy Geremka będzie miał w „Solidarności” większe znaczenie niż głos Siły-Nowickiego czy Chrzanowskiego. Nietrudno stwierdzić, że również wpływ Kościoła, a zwłaszcza metody uprawiania polityki wypracowanej przez prymasa Stefana Wyszyńskiego, będzie ustępował na rzecz myślenia *quasi*-powstańczego. Radykalny antykomunizm niewyrobionych politycznie związkowców, zyska niespotykanego sojusznika w środowisku lewicowo-liberalnym. Głos wyrażający troskę o los narodu i o realizację pierwiastkowego programu „Solidarności” (rozumnej naprawy Polski) będzie często odsuwany na drugi plan, z oczywistą szkodą i dla Polski i dla samej „Solidarności”.

II

Nawet pobieżna analiza dziejów pierwszej „Solidarności” lat 1980-1981, wykaże stałą i w zasadzie nie podlegającą wahaniom proces radykalizacji Związku. Ma on swoje uzasadnienie zarówno w dynamice rewolucyjnej, jak i w nieuchronnym, permanentnym konflikcie jaki trwał pomiędzy z jednej strony niepopularnym i skostniałym aparatem władzy, z drugiej zaś strony wielomilionowym ruchem kierowanym przez młodych, ambitnych i niecierpliwych działaczy związkowych. „Solidarność” była wybuchem, eksplozją społecznej aktywności, którą bardzo trudno było zamknąć w ramy ograniczeń narzuconych przez

wymogi geopolityczne i troskę o długofalowy interes narodowy. Polska roku 1981 nie mogła wybić się na niepodległość, nie mogła zastąpić komunistycznego autorytaryzmu systemem demokratycznym. Mówiąc ówczesnym językiem partyjnej nowomowy, geopolityka narzucała polskiej polityce dwa ograniczenia: zachowania „przewodniej roli partii” (komunistycznej) oraz „nienaruszalności sojuszu ze Związkiem Radzieckim”. Przywódcy „Solidarności” mieli świadomość konieczności samoograniczenia się i nie byli w tym przekonaniu osamotnieni: miliony Polaków przeżywały wraz z nimi podobne dylematy. Jednakże postępująca radykalizacja Związku, w znacznej mierze prowokowana postawą władz, jest faktem nie podlegającym dyskusji. W „Solidarności” ścierały się ze sobą różne koncepcje, ale siłą napędową polityki Związku były pomysły wysuwane przez rozmaitej maści radykałów. Profesor Wiesław Chrzanowski wyróżnił dwa nurty dążące do eskalacji żądań wysuwanych pod adresem władz: nurt syndykalistyczny zmierzający w kierunku rozwiązań politycznych, czyli demokratycznych wyborów samorządowych i parlamentarnych (Jan Rulewski, Stefan Kurowski) oraz nurt samorządu zawodowego, który moim zdaniem najlepiej określić jako anarchosyndykalistyczny (Jacek Kuroń). Chrzanowski w następujący sposób zdefiniował motywacje i cele przyswiewające radykałom: „Byli bowiem tacy, którzy sądzili, że cała rzecz nie może trwać długo ze względu na uwarunkowania zewnętrzne i naturę systemu. Wyciągali stąd wnioski, że trzeba sprokurować możliwie największy ‘fajerwerk’, który odbije się szerokim echem w świecie i utkwi w pamięci społecznej na całe lata. Było to myślenie nawiązujące do tradycji polskich powstań, które były krótkimi, intensywnymi wybuchami aktywności. Wśród ‘umiarkowanych’ takich jak ja umacniało się podejrzenie, że są kręgi lewicowe w świecie, które kiedyś sprzyjały lewicy moskiewskiej i eurokomunizmowi, a teraz będąc z nią w konflikcie skłonne są wręcz do zaakceptowania groźby interwencji sowieckiej w Polsce, by w ten sposób ostatecznie pogrzebać socjalizm w wydaniu sowieckim.” (Wiesław Chrzanowski, *Pół wieku polityki czyli rzecz o obronie czynnej*, s.368) Niezależnie od tego, czy radykalizm wynikał ze świadomego dążenia do konfliktu, czy też z zatracenia poczucia rzeczywistości, skutki polityki radykalnej mogły być tragiczne dla przyszłości Polski. Wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku nie było najgorszym z możliwych scenariuszy.

Rzecz jasna, w obliczu postępującej radykalizacji „Solidarności”, zagrożona została pierwotna formuła Związku jako rzecznika interesu społeczeństwa, dążącego do zawarcia z władzami rozsądnego kompromisu, uwzględniającego wymogi geopolityczne. W ostatnich miesiącach życia, Prymas Stefan Wyszyński usiłował powstrzymać przywódców Związku przed radykalizacją. W jednej z ostatnich wypowiedzi skierowanej do działaczy „Solidarności” powtórzył: „Panu Lechowi Wałęsie tłumaczę: W ciągu tych kilku miesięcy zrobiliście tak wiele, że najbardziej sprawna polityka nie zdołałaby tego uczynić, czego wyście dokonali. Dziękujecie Bogu za to. Musicie teraz uporządkować swoją organizację, umocnić się, stworzyć dobre aparaty administracji związkowej, przeszkolić ludzi do tych zadań, dać im wykształcenie z zakresu polityki i etyki społecznej, polityki rolnej, kodeksu pracy, wszystkich obowiązków i praw, które ten kodeks nadaje. I dalej pracować. Przyjdzie czas, wprawdzie czy później, że nie tylko postulaty społeczno-zawodowe, ale i inne będą na pewno osiągnięte przez potężny ruch „Solidarności” przemysłowej i „Solidarności” związków zawodowych indywidualnych rolników.” (Warszawa, 2 kwietnia 1981 r.)

Niestety, w kluczowym momencie zabrakło autorytetu Prymasa Tysiąclecia. Pierwszy zjazd „Solidarności” uchwalił program utopii samorządowo-syndykalistycznej, narzucony związkowcom przez wspomnianą lewicową elitę. Jesień 1981 roku przyniosła przyspieszoną radykalizację Związku i przedłużającą się patową sytuację, wynikającą z załamania się koncepcji negocjacyjnego dochodzenia do kompromisu między władzą a społeczeństwem.

W przeddzień wprowadzenia stanu wojennego, „Solidarność” przestała być rzecznikiem interesu zdecydowanej większości Polaków. Znaczna część (prawdopodobnie

około 1/3 populacji) popierała Związek, dopóki była przekonana, że jest ruchem dążącym do odnowy życia społecznego, domagającym się „unarodowienia” instytucji państwowych i struktur społecznych i prowadzącym negocjacje ze stroną rządową. Tymczasem „Solidarność” jesienią 1981 roku – w przekonaniu części jej dotychczasowych zwolenników, a przekonanie to umacniała komunistyczna propaganda - stała się narzędziem w ręku ludzi mających na celu walkę z aparatem władzy oraz z państwem komunistycznym. Jacek Kuroń lansował koncepcję rządu tymczasowego, zdecydowana większość przywódców związkowych opowiadała się za radykalnymi rozwiązaniami, nawet Lech Wałęsa – będący dotąd zwolennikiem linii umiaru – uległ atmosferze eskalacji radykalizmu. Jak wynika z protokołu posiedzenia ostatniej Komisji Krajowej w dniu 12 grudnia, jedynie nieliczni doradcy wywodzący się z nielewicowych środowisk, wykazali się rozumem prawdziwych mężów stanu: mecenas Siła-Nowicki przypominał, że żądanie wolnych wyborów do Sejmu i Rad Narodowych jest niezgodne ze statutem Związku i porozumieniami sierpniowymi: „Myśląc o totalnej konfrontacji nie można zapominać o geopolitycznym położeniu Polski. Obawa interwencji radzieckiej towarzyszyła nam od początku istnienia Związku. Jako naród nie możemy do niej doprowadzić. Przecież gdyby doszło do strajku powszechnego, chaosu, wojny domowej, to sytuacja geopolityczna zmieniłaby się na naszą niekorzyść. (...) Najważniejszym więc celem jest uniknięcie konfrontacji.” Z kolei mecenas Olszewski stwierdził, iż alternatywą dla konfrontacji jest „formuła narodowego rozejmu. (...) Widzę ją w sposób następujący: ‘Solidarność’ nie wchodzi w trwałe układy z władzą, lecz poprzez próbę rozwiązywania doraźnych spraw doprowadza do pewnej stabilizacji. Wymaga to oczywiście dobrej woli z obu stron, ale inicjatywa jest po stronie społeczeństwa, a nie władzy. Kluczem do sukcesu jest to, by Związek działał w porozumieniu i z poparciem Kościoła.” (Arka nr 1/1983)

Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało dalszą polaryzację stanowisk. Ci, którzy opowiedzieli się po stronie „Solidarności”, przyjęli optykę odrzucającą *en bloc* system komunistyczny. Co prawda nikt nie poszedł za wezwaniem Jacka Kuronia w styczniu 1982 roku do ogólnonarodowego powstania, ale radykalizm związkowy w dalszym ciągu wzmacniany był przez antyreżimową optykę środowisk liberalnej lewicy. Nie doszło do odrodzenia „Solidarności” w wersji czysto związkowej, okrojonej o radykałów. Nie doszło również do samokrytycznej refleksji nad przyczynami porażki, choć były symptomy pewnych przewartościowań. Najciekawsze świadectwo złożył Piotr Wierzbicki: „Pomyliłem się. Gdzieś głęboko, jakby w podświadomości błąkało mi się poczucie, że ‘Solidarność’ powinna przyhamować, nie eskalować żądań, okopać się na zdobyczach, ale nad tym niewyraźnym ognikiem rozsądku szalało kibicowanie junackim zagrywkom, zacieranie rąk, słuchanie plotek na temat Wałęsy. (...) W majowym numerze pisma ‘Dziś i pojutrze’ (NSZZ Solidarność Region Dolnośląski) przeczytałem tekst: ‘Próba analizy działalności ‘Solidarności’ i przyczyn jej klęski’ Tekst ten wywarł na mnie ogromne wrażenie. Zawierał obwarowaną zastrzeżeniami propozycję, by ci przywódcy, którzy czują, że się w przeszłości pomylili, działali w niewłaściwym kierunku, sami dobrowolnie podali się do dymisji.” Niestety, nie doszło ani do samokrytycznej oceny błędów popełnionych przez radykałów związkowych i radykalnych doradców, ani do zmiany garnitur liderów. Jak pisze Wierzbicki: „Nikt nie tylko nie podał się do dymisji, ale nawet nie zadeklarował gotowości rozważenia celowości takiego kroku. Żadne nożyce się nie odezwały. (...) Autorzy dawnych błędów brnęli najspokojniej w nowe, hasło pokonania organizatorów stanu wojennego śmigając po podziemnych gazetach, firmowane nazwiskami autorów, którzy już przed 13 grudnia uznali władzę za pokonaną. W Polsce wolno się mylić aż do skutku”.(Piotr Wierzbicki, *Myśli staroświeckiego Polaka*, s.54,55)

Praktycznym skutkiem braku jakichkolwiek samokrytycznych przewartościowań wewnątrz ruchu solidarnościowego były: zatrzymanie naturalnej wewnętrznej cyrkulacji elit

przywódczych a także trwała utrata poparcia niemałej części Polaków, która wykazywała częściowe zrozumienie dla wprowadzenia stanu wojennego z powodu przekonania, iż przywódcy „Solidarności” dążąc do konfrontacji, wykazali troskę o realizację własnych celów, zamiast troski o interes zwykłego obywatela. Stan wojenny definitywnie wygasił ogromną energię tkwiącą w wielomilionowym ruchu odnowy moralnej i aktywności obywatelskiej. Odrodzona w 1989 roku „Solidarność” była już tylko błędym odbiciem ruchu masowego entuzjazmu z lat Polski „sierpniowej”, choć wciąż jeszcze cieszyła się poparciem około połowy Polaków.

III

W połowie lat 80. w postawie liberalnej lewicy następuje znaczący zwrot. Dotąd skrajnie antyreżymowi, publicyści i politycy tacy jak Adam Michnik, stają się rzecznikami porozumienia i zawarcia kompromisu ze zniechęconą wcześniej władzą. Dzięki poparciu Lecha Wałęsy, stają się po raz trzeci czołowymi doradcami odradzającej się „Solidarności”. Stało się to możliwe dzięki trwającemu w zbiorowej świadomości zwolenników Związku podwójnemu zafałszowaniu. Działacze liberalnej lewicy uchodzili wszak za równorzędnych z robotnikami współtwórców pierwszej „Solidarności”, a ponadto nie zostali rozliczeni z błędów popełnionych jesienią 1981 roku, ponieważ cała odpowiedzialność za załamanie się dialogu władzy z „Solidarnością”, została przez aktywistów zdelegalizowanego ruchu opozycyjnego zrzucona na władze. Na tle tak istotnych zafałszowań łatwo zrozumieć, że antykomunistyczna część społeczeństwa przyjęła do wiadomości kolejne zafałszowanie, a mianowicie przeświadczenie, iż zmiany w 1989 roku zostały wymuszone na władzy dzięki „zrywowi” strajkowemu w maju i sierpniu 1988 roku, przeświadczenie połączone z wiarą w „cudowną” odmianę władzy reprezentowanej wciąż przez to samo grono przywódcze - z postawy chytrego oszukiwania „Solidarności” jesienią 1981 roku na postawę całkowitej prostolinijności w dochowywaniu umów zawartych podczas „okrągłego stołu”. Argument, że władza w 1989 roku była czymkolwiek zmuszona do dotrzymania podjętych zobowiązań upada w świetle faktu, iż druga „Solidarność” nigdy nie osiągnęła takiego zasięgu wpływów jakim cieszyła się „Solidarność” w przededniu wprowadzenia stanu wojennego. Argument, że w 1989 roku nie zagrażała nam interwencja sowiecka świadczy jedynie o tym, że zmiany zostały zainicjowane odgórnie przez aparat komunistyczny, dążący do ewolucyjnego wyjścia z pozostałości systemu komunistycznego. Zasadnicza dla zmiany ustroju ustawa o wolności gospodarczej została przyjęta przez komunistyczny rząd Mieczysława Rakowskiego pod koniec 1988 roku, a więc jeszcze przed rozpoczęciem rozmów okrągłego stołu. Opozycja solidarnościowa dopiero od tego momentu, niejako kontynuując proces zapoczątkowany przez liberałów partyjnych, zaczyna głosić postulat odejścia od systemu nakazowo-rozdzielczego i oparcia gospodarki na zasadach kapitalistycznych.

Trzeba przyznać, że dość szybko w szeregach zwolenników prawicy zaczyna narastać przekonanie, iż ster sprawy polskiej znajduje się w niewłaściwych rękach. Niestety, kontestacja idzie w kierunku utrwalenia dotychczasowych zafałszowań. Przywódców liberalnej lewicy krytykuje się za czyny, które stanowią powrót a nie odejście od litery i ducha Porozumień Sierpniowych. Opozycja prawicowa głosi krytykę „okrągłego stołu”, czyli idei kompromisu między władzą a zbiorową reprezentacją społeczeństwa. W tej kwestii może jednak liczyć na poparcie jedynie części Polaków, dla której najważniejszym wyznacznikiem samoidentyfikacji jest antykomunizm.

IV

Dekada lat 90. przyniosła kilka okresów, kiedy władzę w Polsce obejmowały partie wywodzące się z „Solidarności” a sam Związek używał swoich wpływów dla ochrony polityki rządowej przed wybuchem niezadowolenia społecznego. „Solidarność” przez ponad dziesięć lat mniej lub bardziej świadomie firmowała i wspierała liberalną politykę gospodarczą (zapoczątkowaną przez rząd Rakowskiego), w monetarystycznej i nieprzyjaznej drobnej przedsiębiorczości wersji, symbolizowanej przez postać Leszka Balcerowicza. Z punktu widzenia programu pierwszej „Solidarności” a także mniej lub bardziej sprecyzowanych oczekiwań blisko 10 milionów ówczesnych członków Związku, była to postawa całkowitego odejścia od własnych korzeni. Pierwsza „Solidarność” była ruchem roszczeniowym i w kwestiach gospodarczych - za wyjątkiem utopijnego i niebezpiecznego dla Polski programu „Rzeczpospolitej samorządnej” - niewiele wniosła konstruktywnych treści. Jednakże z ogólnego charakteru ruchu wspólnotowego, ponadklasowego, solidarystycznego, silnego oddziaływania Kościoła, wreszcie katolickiej nauki społecznej, która przynajmniej deklaracyjnie była przyjmowana za własną przez Związek, wynika, iż miliony zwolenników „Solidarności” oczekiwały rozwiązań zmierzających w kierunku „społecznej gospodarki rynkowej” ze szczególnym naciskiem na rozwiązania przyjazne społecznie. Popierając w latach 90. politykę liberalną gospodarczo w wersji sprzyjającej zachodniemu kapitałowi, rodzimemu wielkiemu kapitałowi pochodzenia nomenklaturowo-przestępczego i wąsko pojmowanemu monetaryzmowi, „Solidarność” paradoksalnie nie tylko odeszła od własnego programu, po raz ostatni sformułowanemu podczas rozmów „okrągłego stołu”, ale najmocniej uderzyła we własny, najwierniejszy elektorat. Wyniki wyborów parlamentarnych wskazywały, że antykomunistyczny elektorat skupia się w najslabiej rozwiniętych gospodarczo województwach południowo-wschodnich, gdzie szczególnie silne były antykomunistyczne resentymy. Elektorat prawicowy był w większości elektoratem biednym i biernym, a więc najboleśniej odczuł skutki liberalnych przekształceń.

Prawica w Polsce lat 90. w większości odeszła od modelu wykształconego (oddolnie) przez pierwszą „Solidarność”. Ruch w 1980 roku miał charakter ruchu wspólnotowego, protoobywatelskiego, wolnościowego (republikańskiego), był to masowy i oddolny ruch wyrażający zbiorową troskę o państwo, o dobro publiczne, o odnowę moralną, ruch na wskroś polski, będący emanacją ówczesnej tożsamości zbiorowej. Obóz postsolidarnościowy lat 90. został zdominowany przez opcję indywidualistyczną, liberalną, na dodatek został skażony licznymi oskarżeniami o korupcję, spory personalne, instrumentalne rozgrywanie własnego elektoratu. Koncepcja pospiesznego „reformowania” kraju nigdy nie została powszechnie zaakceptowana przez społeczeństwo, dlatego realizowanie kolejnych reform prowadziło do narastającego konfliktu z własnym elektoratem. Lansowanie nie swojego programu liberalnego oraz wygasanie – w miarę upływu czasu – antykomunistycznych resentymów, sprawiły, że elektorat prawicowy rozpadł się, czego efektem były wyniki wyborów parlamentarnych w 2001 roku. Część dawnych zwolenników „Solidarności”, która poradziła sobie w nowej rzeczywistości, zaczęła grupować się wokół liberalnej Platformy Obywatelskiej. Można domniemywać, że *stricte* liberalna partia w tej lub innej formie, zagospodaruje na trwałe wspomnianą część dawnego elektoratu „Solidarności”, ale zarówno program jak i koncepcja tej partii (reprezentacji interesów pracodawców, a nie pracobiorców) niewiele będą miały wspólnego z dziedzictwem Sierpnia 1980 roku. Drugą, stale malejącą część elektoratu przejmie każda partia głosząca hasło antykomunizmu. Istnieją liczne przykłady trwałości pewnych resentymów pomimo ustania przyczyn, które je wywołały. Ale prawica nie obejmie w Polsce władzy, dopóki nie zbuduje niejako od podstaw ruchu wyrastającego z rzeczywistych, a nie zafałszowanych korzeni wielkiego ruchu „Solidarności”. Podstawą do tworzenia takiego ruchu powinno być odkłamanie własnej przeszłości,

zrozumienie i rozliczenie własnych błędów, sformułowanie rzeczywistej alternatywy dla rządów SLD i (lub) obozu prezydenckiego. W przeciwnym wypadku prawicy grozi powstanie AWS-bis. I powtarzanie bez końca tych samych błędów, z coraz bardziej opłakanymi skutkami.

(Sprawa Polska, Zima 2002)